11.-IV. 1931 CENA NUMERU 1 ZŁ. 50 GR. Nr. 15

TYGODNIK ILLUSTROWANY

PROCESJA REZUREKCYJNA Z KOŚCIOŁA GARNIZONOWEGO W WARSZAWIE

ADRES WYDAWNICTWA: WARSZAWA ZGODA 12

SŁOWNIK

francusko-polski i polsko-francuski Prof. Pawła Kaliny.

WYSZEDŁ Z DRUKU DRUGI TOM (OBJĘTOŚCI STR. 240)
CZĘŚCI POLSKO-FRANCUSKIEJ OD „KAMPESZ" DO „OSZYĆ"
CAŁOŚĆ SKŁADAĆ SIĘ BĘDZIE Z CZTERECH TOMÓW,
KTÓRE SIĘ UKAZYWAĆ BĘDĄ CO 3 MIESIĄCE.

Cena tomu zł. 9.—, na papierze bezdrzewnym zł. 10.50.
Uwaga: Po wyjściu całego dzieła, cena będzie podwyższona.
Jest również do nabycia we wszystkich księgarniach
Część francusko-polska (str. XXIV + 939)

Cena w oprawie płóciennej zł. 40.—; w oprawie półskórkowej, na papierze bezdrzewnym, zł. 50.—

Wielkie uznanie, jakiem się cieszy część francusko-polska, jest najlepszą rękojmią, iż część polsko-francuska stoi również na wysokim poziomie naukowym i że odpowiadać będzie potrzebom szerokich warstw inteligencji polskiej. W tej części są również uwzględnione w szerokich ramach wszystkie dziedziny nauki i techniki współczesnej, oraz nowotwory powojenne, które zyskały sobie prawo obywatelstwa w mowie potocznej, oraz literaturze polskiej.

Skład Główny Gebethner i Wolff

PODRÓŻUJĄC, ŻĄDAMY
BEZPIECZEŃSTWA
SZYBKOŚCI
WYGODY.

POSTULATY TE W STU PROCENTACH REALIZUJE
NASZA KOMUNIKACJA POWIETRZNA.
NISKIE CENY BILETÓW — SAMOLOTY KURSUJĄ CODZIENNIE.

BYDGOSZCZ—KATOWICE—KRAKÓW—LWÓW—POZNAŃ—WARSZAWA—
GDAŃSK—BRNO—WIEDEŃ—GALATI—BUKARESZT.

W zimie 1930/31 P. L. L. „LOT" udzielają od normalnych cen biletów 40% zniżki (dla stałych członków L. O. P. P. 50%), dzięki czemu ceny biletów samolotowych wynoszą mniej więcej tylko tyle co ceny biletów kol. III kl.

Zbliża się wiosna...
Budzi się nieodparta chęć posiadania
Własnego Samochodu
Jaki samochód wybrać?
KOMU ZAUFAĆ?
Tylko firmie, która gwarantuje zawsze niezależnie od depresji gospodarczych, rzeczywiste korzyści tak przy kupnie, jak i w użyciu
Zapewnić wszystkie te korzyści może w chwili obecnej jedynie
CITROËN
Dzięki swej doskonałej organizacji sprzedaży i obsługi opartej o
Fabrykę w Warszawie
Citroën daje wszystkie korzyści:
Najwyższa wartość za najniższą cenę.
Dogodne warunki spłat.
Tania eksploatacja.
Tania konserwacja.
C6F
C4F
CITROEN

NOWE TOMY KSIĄŻEK LILJOWYCH

POWIEŚĆ

CENA TOMU

ZŁ. 5.80

Z ILUSTRACJAMI

OPOWIADANIA

GEBETHNERA I WOLFFA

NOWOŚĆ

ZOFJA NAŁKOWSKA

ŚCIANY ŚWIATA

RODZINA MARCJI. ZALEŻNOŚCI. KRZYK NIESŁYSZANY.
ZŁOCZYŃCY. UKOJENIE. SZCZĘŚCIE. KOBIETY TAM.

CENA ZŁ. 7.50

DZIEŃ JEGO POWROTU

DRAMAT W 3 AKTACH

CENA ZŁ. 7.50

NAKŁADY GEBETHNERA I WOLFFA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

CHOROBY PŁUC

Stosowany przez p. p. Doktorów „Balsam Thiocolan'Age" przy **grużlicy, bronchicie, kaszlu** ułatwia wydzielanie się plwociny; wzmacnia organizm i samopoczucie chorego, powiększa wagę ciała. „Balsam Thiocolan'Age" sprzedają apteki. Żądajcie tylko w oryginalnem opakowaniu A. GĄSECKIEGO.

VERMOUTH
TRINCHIERI
TANI - JAKOŚCIOWO PIERWSZORZĘDNY
ŻĄDAĆ W HANDLACH WIN i RESTAURACJACH
REPREZENT. **E. Langner i S-ka** SP. AKC.
Sklep własny
Marszałka Focha №8, przy pl. Teatralnym.

DROGA DO ZDROWIA!
CHORZY UZYSKUJĄ ZDROWIE UŻYWAJĄC
Zatwierdzone przez Departament Służby Zdrowia
ZIOŁA LECZNICZE
Mag. E. WOLSKIEGO

„BILLOSA" leczą niezawodnie cierpienia wątroby i woreczka żółciowego, usuwają kamienie żółciowe.

„DEGROSA" leczą nadmierną otyłość, powodują prawidłową przemianę materji w organiźmie.

„GASTROSA" leczą chroniczną obstrukcję i wszelkie zaburzenia żołądkowe i kiszkowe, idealnie regulują trawienie i chronią od hemoroidów.

„LARYNGOSA" leczą bóle stany zapalne (anginy) gardła, krtani, migdałków, zapalenia dziąseł i okostnej.

„PASIVEROSA" usuwają bezsenność nerwową, idealnie regulują czynność serca i cały system nerwowy.

„PULMOSA" leczą choroby płuc. Usuwają kaszel i zaflegmienie. Wzmacniają organizm, przywracają apetyt.

„REUMOSA" usuwają cierpienia reumatyczne, artretyczne i ischiasu. Rozpuszczają kwas moczowy.

„UROSA" leczą cierpienia nerek i pęcherza. Usuwają wszelkie niedomagania dróg moczowych.

Broszury wysyłamy na żądanie bezpłatnie.
Główna sprzedaż: **Warszawa, Nowogrodzka 46, tel. 326-98.**

MYDŁO DO GOLENIA

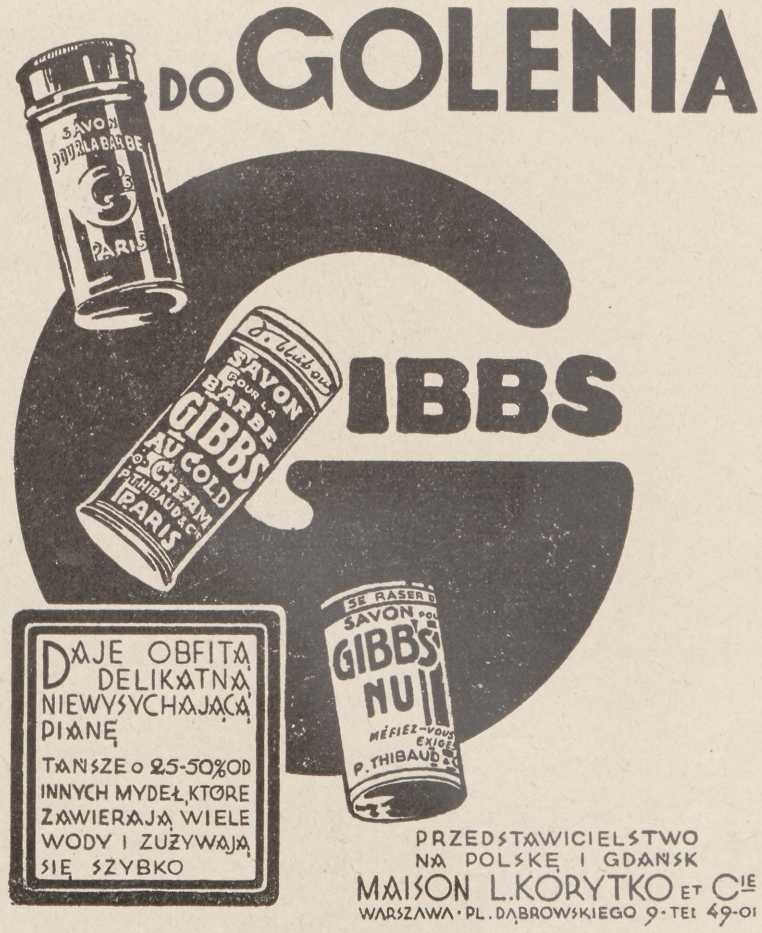

GIBBS

DAJE OBFITĄ DELIKATNĄ NIEWYSYCHAJĄCĄ PIANĘ
TANSZE o 25-50% OD INNYCH MYDEŁ, KTÓRE ZAWIERAJĄ WIELE WODY I ZUŻYWAJĄ SIĘ SZYBKO

PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ I GDAŃSK
MAISON L. KORYTKO ET Cie
WARSZAWA · PL. DĄBROWSKIEGO 9 · TEL 49-01

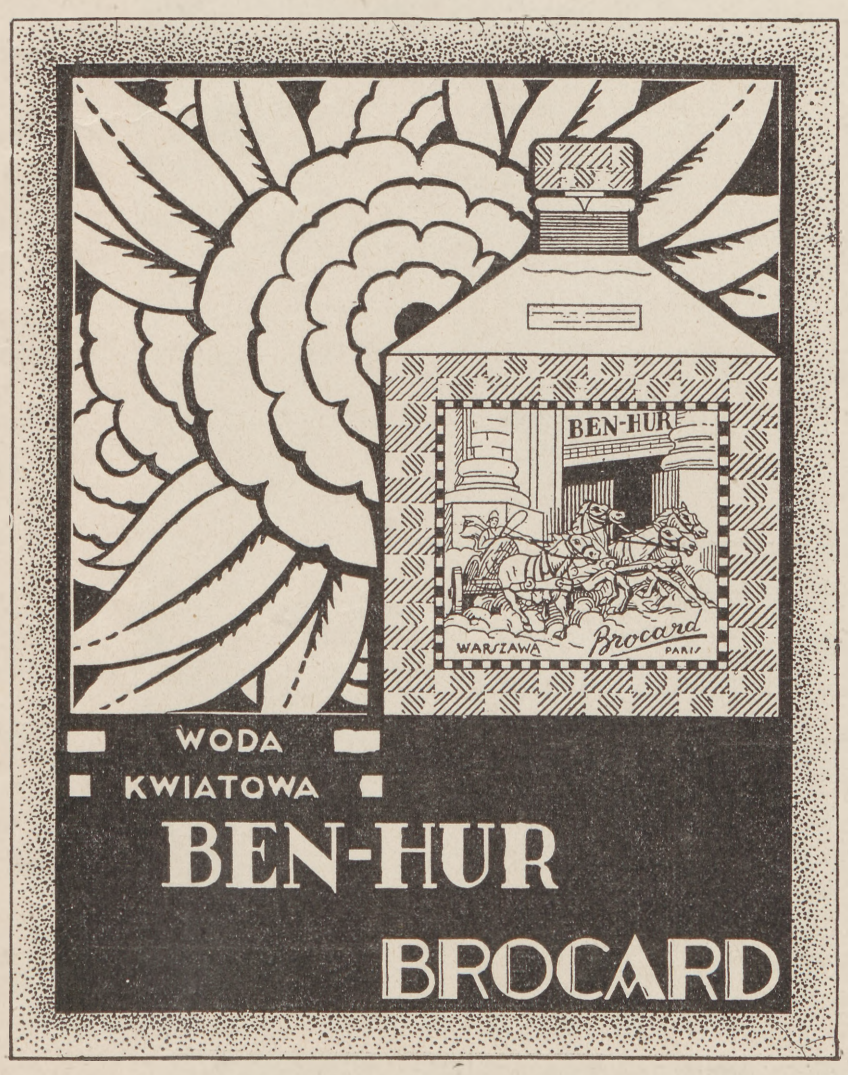

LETNIE WYCIECZKI MORSKIE

W bieżącym sezonie letnim odbędą się następujące wycieczki transatlantyckim okrętem „POLONIA":

po Morzu Bałtyckiem – od 1 do 10 czerwca.
Bilety od 325 zł.
Trasa — Ryga, Tallin, Helsingfors, Stockholm, Visby.

na Fiordy Norwegji — od 18 lipca do 2 sierpnia.
Bilety od 500 zł.
Trasa - Kopenhaga, Bergen, Sognefiord, Moldefiord, Nordkap, Trondheim.

po Morzu Północnem — od 6 do 17 sierpnia.
Bilety od 375 zł.
Trasa — Kopenhaga, Londyn, Rotterdam, Kanał Kiloński.

po Atlantyku — transatl. okrętem „KOŚCIUSZKO" — od 29 lipca do 26 sierpnia.
Trasa — Gdynia, Halifax, New-York, Niagara.
Bilety od 1975 zł.

3 wycieczki do Kopenhagi — transatl. okrętami „KOŚCIUSZKO" i „PUŁASKI". Bilety od 150 zł. Odjazd 20 maja, 24 czerwca i 16 września.

Informacje i sprzedaż biletów w biurze LINJI GDYNIA—AMERYKA w Warszawie ul. Marszałkowska 116, w oddziałach prowincjonalnych, oraz w biurach „WAGONS-LITS COOK", „ORBIS", FRANCOPOL" i „POLTUR".

Paszporty i wizy zagraniczne, z wyjątkiem do Stanów Zjednoczonych A. P., **zbędne.**

Opłacalność przewozu towaru jest zależną od jakości ciężarówki.

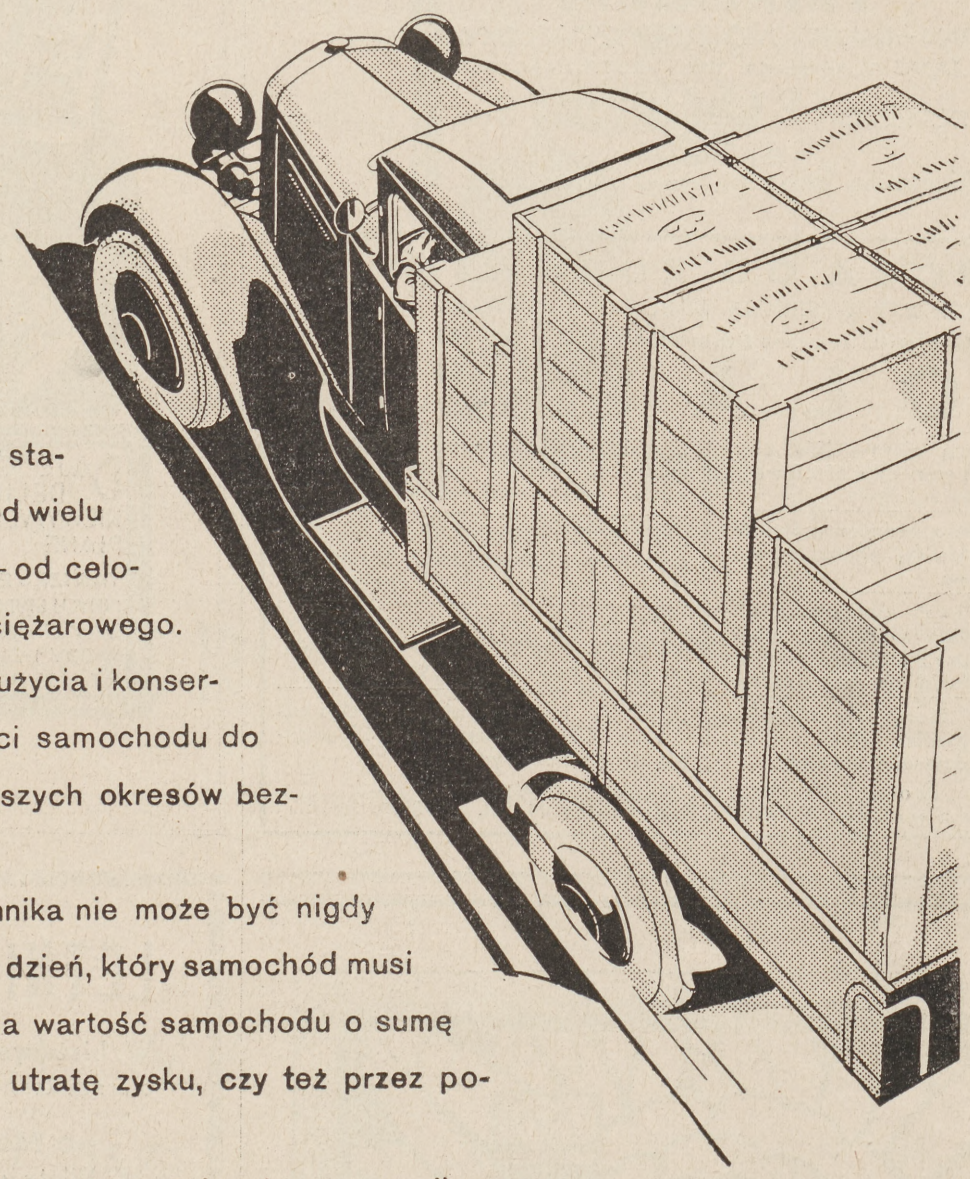

Nowoczesny przewóz towarów staje się opłacalnym w zależności od wielu czynników. Przedewszystkiem — od celowości konstrukcji samochodu ciężarowego. Po drugie — od niskich kosztów użycia i konserwacji. Po trzecie — od zdolności samochodu do pracy przez wiele lat bez dłuższych okresów bezczynności.

Doniosłość tego ostatniego czynnika nie może być nigdy zbyt mocno podkreśloną. Każdy dzień, który samochód musi spędzić w warsztacie, zmniejsza wartość samochodu o sumę strat, powstałych czy to przez utratę zysku, czy też przez powiększenie ogólnych kosztów.

Ciężarówka Ford — wytwór najwyższej jakości, wykonany z najlepszego materjału przez wyborowy, dobrze płatny zespół pracowników, odpowiada tym wszystkim warunkom opłacalności przewozu.

Prosimy dziś jeszcze odwiedzić naszego upoważnionego odsprzedawcę, który pomoże w rozwiązaniu wszelkich zagadnień transportu.

GWARANCJA:

Ford Motor Company ręczy za dobroć ciężarówki Ford, gwarantując zamianę każdej części, u której zostanie stwierdzony błąd fabrykacji lub wada materjału, przyczem wynagrodzenie odsprzedawcy za dokonanie zamiany nie zostaje liczone klijentowi.

LINCOLN Ford FORDSON

SAMOLOTY

FORD MOTOR COMPANY

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Nr. 15 OGÓLN GO ZBIORU 3 722 11 KWIETNIA 1931

Z WYSTAWY KOLONJALNEJ W PARYŻU

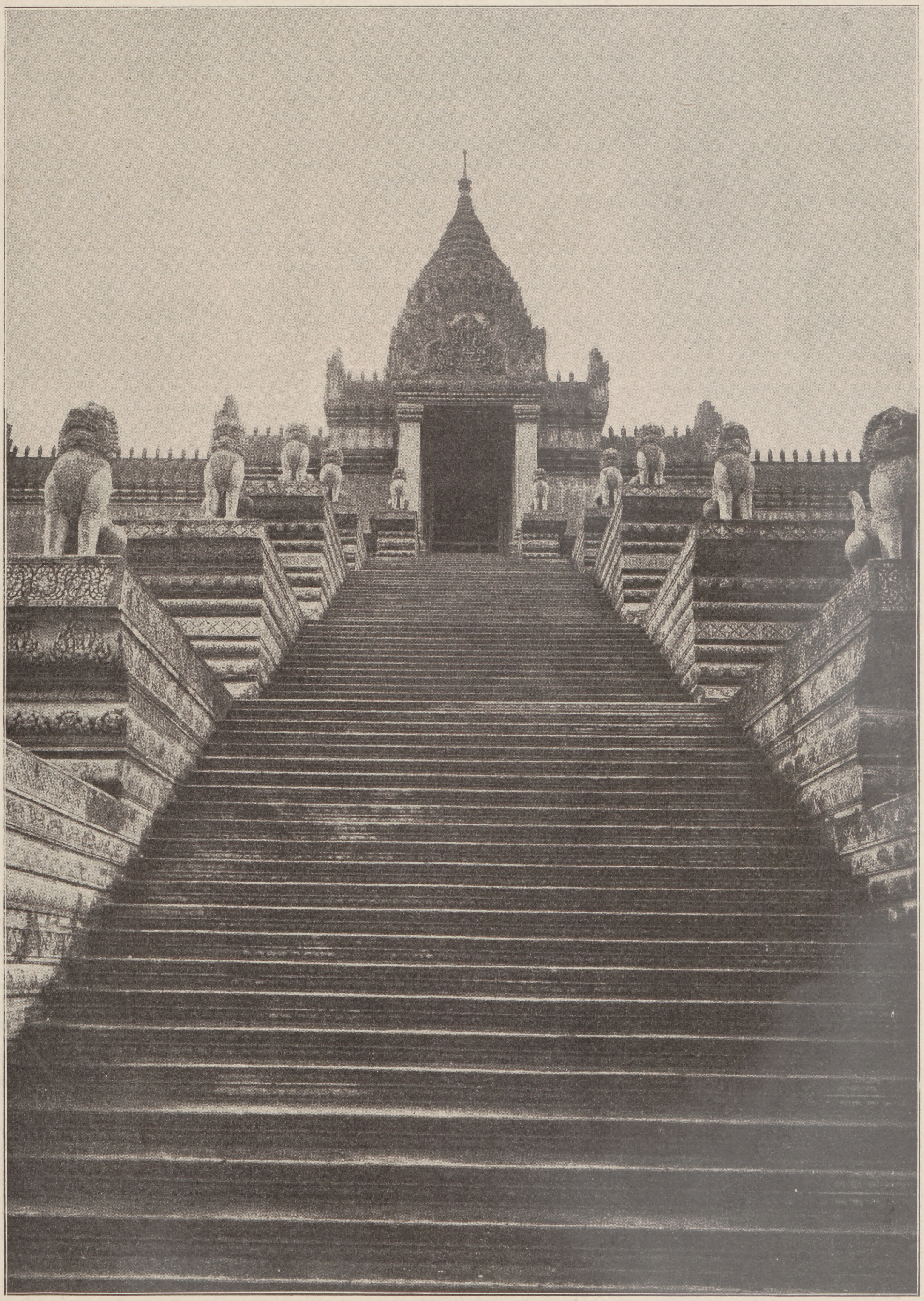

Imponujący wygląd świątyni w Angkor, należącej do odtworzonych na Wystawie Kolonjalnej budowli, daje pojęcie o tem, z jak wielkim rozmachem przygotowano wystawę. (Do artykułu na str. 293)

DWIE WAŻNE SPRAWY

Dwie ważne sprawy wyrosły w ostatnich czasach na glebie kulturalnego życia stolicy, obie wymagają uwagi Warszawy i jej poparcia. Jedna — to dokończenie odbudowy Pałacu Staszica, siedziby Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Na innem miejscu drukujemy odezwę „do obywateli kraju i stolicy", podpisaną przez wybitne osobistości, na które z racji zajmowanych stanowisk społecznych, spada w pierwszym rzędzie troska o przyszłość tyle zasłużonej instytucji. Tu możemy tylko gorąco polecić dalszej trosce — najszerszych warstw społecznych rozpoczęte i już daleko posunięte dzieło odbudowy. Idzie już teraz tylko o dokończenie, idzie o to, by nie zatrzymać się na kilka kroków przed metą i tą granicą wytężonego wysiłku dobrej woli i ofiarności, która dzieli nowożytną, europejską Polskę od przeszłości bolesnej i aż trudnej dziś do zrozumienia.

„Pomóżmy Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu w jego trudnej pracy nad przywróceniem Pałacowi Staszica jego dawnego charakteru, świetności i znaczenia". Dużo treści zawiera się w tych słowach: dawny charakter, świetność, znaczenie. Całe karty dziejów Polski porozbiorowej wypełnione są historją spraw, które na chwałę i wielkość narodu, działy się pod kopułą Pałacu Staszica, pod auspicjami Kopernika, czuwającego u wejścia do gmachu. Wymownie odtwarza nam ową przeszłość Wacław Berent, w swojem „Wywłaszczeniu Muz" pisząc o ludziach, którzy z Towarzystwa Królewskiego umieli uczynić ognisko myśli europejskiej a własnej i narodowej, i w niem, w Pałacu Staszica na Krakowskiem, dać nauce, sztuce, poezji najpewniejszą przystań i ochronę.

Dziś jest gmach Staszica siedzibą Towarzystwa Naukowego, jest nią jednak niezupełnie, nie doszczętnie; trzeba właśnie dokończyć odbudowy. Stąd apel do społeczeństwa. To jasne, że wzywać dzisiaj do ofiar — znaczy działać ryzykownie, znaczy narazić się na zdziwienie zubożałych obywateli, bezsilnych wobec ciężkiego położenia gospodarczego. Mimo to, wezwanie o pomoc dla Towarzystwa Naukowego ma swój jesny sens, bo oparte jest na doświadczeniu przeszłości, bo odwołuje się do czasów, kiedy w najcięższych moralnych warunkach w okresie ucisku politycznego — Towarzystwo Królewskie, dzięki pomocy ogółu, rozrastało się, poszerzało swoje znaczenie i swoje błogosławione dla kraju wpływy.

*

Innego rodzaju jest druga sprawa. Obchodzi przedewszystkiem samą stolicę. Los teatrów miejskich — bo o nie tu idzie — zależy od szczupłego grona osób, ściślej, od władz miejskich stolicy. Zależy od decyzji, która, wątpić o tem nie można, dyktowana będzie zarówno względami na pomyślny rozwój sztuki teatralnej w Warszawie i w kraju, jak i troską o materjalną równowagę w skomplikowanej zawsze „polityce teatralnej". Kwestja ta zaostrzyła się dziś wyraźnie, budząc zainteresowanie powszechne, powodując dyskusję i spory. Nie chcemy bynajmniej rozszerzać tej dyskusji, raczej ją reasumujemy, stwierdzając, że wypowiedziano się w niej przedewszystkiem przeciw projektowanej fuzji teatrów miejskich z teatrami dyr. Szyfmana.

Gdy w roku 1913-ym dyr. Arnold Szyfman otwierał podwoje swego „Teatru Polskiego" w Warszawie, słynne ongiś „Rozmaitości" znajdowały się, mimo niektórych znakomitych artystów, w stanie głębokiej depresji artystycznej. Teatr Polski wytworzył odrazu doskonałą atmosferę, nadrobił stracony czas, wzorując się na dobrych teatrach zagranicznych — a w konsekwencji poziom warszawskich teatrów rządowych, po wojnie zaś miejskich, podniósł się bardzo, zmuszono je bowiem do rywalizacji w dziedzinie repertuaru, zespołu aktorskiego, poziomu dekoracyj i t. d. W różnych momentach z różnem powodzeniem walczyły teatry miejskie i teatry dyr. Szyfmana ze złą konjunkturą powojenną, naogół jednak, w porównaniu ze stanem teatrów zagranicą, poziom teatrów warszawskich był wysoki.

I oto teraz, wedle wiadomości podawanych przez prasę i potwierdzanych przez Zarząd Miasta, przygotowywana jest całkowita fuzja teatrów miejskich z teatrami dyr. Szyfmana. Pomijamy tu mnóstwo rzeczowych względów, przemawiających przeciwko takiej fuzji, której rezultaty dodatnie stałyby w rażącej dysproporcji do rezultatów ujemnych— już sam fakt wprowadzenia monopolu do życia teatralnego stolicy przekreśla ich pomyślny rozwój przynajmniej na lata najbliższe. Nie ulega żadnej wątpliwości, że zła konjunktura ekonomiczna wywiera na poziom teatrów warszawskich jak najgorszy wpływ. Mimo to jednak względy konkurencji artystycznej, w teatrze tak ważne, jak w żadnej sztuce, a mogące być przyrównane tylko do konkurencji sportowej, stanowią doskonały odpór i przeciwwagę. Odpadnięcie tego względu stawia sprawę teatrów stolicy na platformie najzupełniej ekonomicznej, pozwalającej ostatecznie na dobre od czasu do czasu przedstawienia, ale wyłączające żywszą atmosferę twórczą, której i tak niedość w naszych teatrach.

Ożywiona polemika prasowa wysunęła już bardzo dużo argumentów przeciwko tej fuzji, zaczerpniętych z różnych dziedzin organizmu teatralnego. Artyści dramatyczni i operowi, autorzy dramatyczni, technicy teatralni wszelkich kategoryj — wszyscy wypowiadają się przeciwko projektowi fuzji. Grają tu oczywiście względy natury materjalnej, nie brak jednak akcentów odpowiedzialności za sztukę, która odgrywa tak wielką rolę w życiu społecznem i tak bezpośrednio oddziaływa na wyobraźnię społeczeństwa. *St. R.*

NIEMCY W WIELKOPOLSCE I NA POMORZU

Ostatnie prowokacje radjowe niemieckie, będące zresztą tylko jednem z ogniw nieskończonego i coraz silniej naciąganego łańcucha w polityce przeciwpolskiej, głosiły urbi et orbi, że „zrabowane Niemcom przez traktat wersalski" wschodnie dzielnice są rdzennie, historycznie, etnograficznie i kulturalnie ziemią niemiecką, która musi powrócić do swej ojczyzny niemieckiej.

Ponieważ szerokie sfery społeczeństwa polskiego nie zawsze zdają sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy, pożyteczne będzie bliżej przyjrzeć się, jak przedstawia się w świetle cyfr sprawa zaludnienia niemieckiego Wielkopolski i Pomorza i jaki tam jest stan posiadania ziemskiego tej mniejszości?

Przedewszystkiem zwróćmy się do najbardziej dla Niemców wiarygodnego źródła: do urzędowej statystyki pruskiej. Hermann Rauschning w pracy swej p. t. *Die Entdeutschung Westpreussens und Posens* (Berlin, 1930), czyniąc przegląd „10-ciu lat polityki polskiej", ubolewa nad odniemczeniem tych prowincyj, popierając swe żale cyfrowemi danemi. Cytuje przedewszystkiem wyniki urzędowego spisu z r. 1910, wedle którego — sam zmuszony to przyznać — na Pomorzu Polacy stanowili 57,5%, a w Wielkopolsce 64,5% ogółu ludności. Czyli inaczej: same władze pruskie stwierdziły niezbicie polskość obu tych dzielnic. Ten moment nabiera tem silniejszego znaczenia, jeżeli się weźmie pod uwagę, że do podobnego wyniku zmuszona była dojść statystyka pruska po szeregu lat niesłychanie intensywnej pracy i po zastosowaniu najbardziej drakońskich środków, celem wyrwania z korzeniem polskości z tego „Ostmarku", zagarniętego i germanizowanego w najbardziej wyrafinowany sposób.

A wynik tych niesłychanych wysiłków, nietylko rządu, lecz i całego społeczeństwa niemieckiego?

Stan z r. 1910 (do którego znów nie można przywiązywać sakramentalnej wiary, znając niemieckie metody, dążące chciażby na papierze do liczebnego wyolbrzymiania ludności niemieckiej) dotrwał niewątpliwie do ostatnich chwil, a więc do r. 1919—20. I zaraz w rok-dwa potem, a bardziej jeszcze w r. 1928, polskie już dane urzędowe stwierdzają wielkie zwiększenie ludności polskiej, nie takie jednak, jakie powinnoby mieć miejsce, jeżelibyśmy wykorzystali wszystkie, przysługujące nam na mocy traktatów, prawa przymusowego wykupu posiadłości niemieckich, wydalenia optantów, etc. Niestety, zapomnieliśmy o tem, że Niemiec najtrudniej godzi się z faktem odebrania mu tego, co sam zagrabił. Że każdy pozostały w Polsce przedstawiciel tego z natury zaborczego plemienia nigdy nie zapomni, iż tylko co był tutaj panem i władcą, uprawnionym do wyzyskiwania i gnębienia Polaka, a teraz musi się zadowalać „zaledwie" równouprawnieniem, i, w stosunku do dawnych przewag, niewielkiem tylko uprzywilejowaniem. Pamiętał natomiast o tem doskonale Berlin, który, po przeminięciu pierwszych chwil depresji, rzucił rozkaz swym rodakom: pozostawać na miejscach, nie wyzbywać się zdobytych placówek, bo w tem będzie najsilniejszy punkt oparcia przy rozpoczęciu akcji odwetowej.

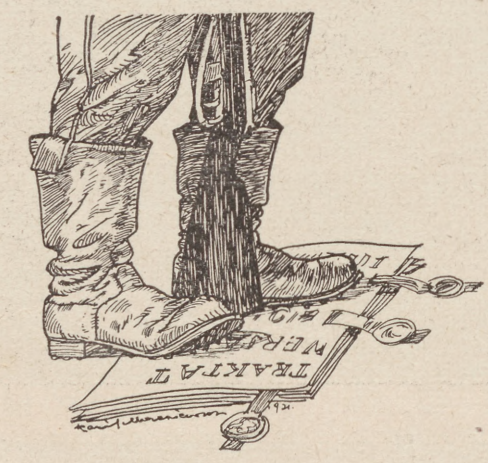

Rys. K. Mackiewicz

Pierwszy spis polski stwierdził, że na Pomorzu mniejszość niemiecka stanowiła w r. 1921 zaledwie 18,7%, a w Wielkopolsce 16,5% ogółu mieszkańców.

Taki raptowny spadek stwierdza, że niewątpliwie w obliczeniach statystyki pruskiej były tendencyjne fałsze na naszą niekorzyść, a następnie, że cały ten pruski nalot etniczy był sztuczny i że ogromna większość jego, zamieszkująca „Ostmark" widziała rację swego pobytu w tym obcym dlań kraju i w obcem otoczeniu, o ile wyrażało się to w rozmaitych, bardzo daleko idących ułatwieniach kredytowych, w dodatkach „kresowych" (słynne „Ostmarkenzulagen"), etc. Skoro to wszystko znikło, Niemcy, najmocniej przekonani, że z chwilą dojścia do należnej nam władzy, uwolnimy się od nich — zaczęli w latach 1919—20 wyprzedawać się i wyjeżdżać. Rozkaz Berlina zatrzymał tę masową emigrację. I wytworzyła się wtedy nad wyraz ciekawa, komiczna sytuacja! Niemiec, dobrowolnie wyzbywający się w Polsce posiadłości i emigrujący do swej ojczyzny, był tam bojkotowany i odmawiano mu wszelkiej pomocy. Aby więc tego uniknąć, trzeba było starać się, aby dana posiadłość została zakwalifikowana przez władze polskie do przymusowego zlikwidowania, czyli dowieść, że dany osobnik jako „ofiara teroru polskiego", zmuszony został do opuszczenia niegościnnych progów Polski! Do urzędów likwidacyjnych jęli więc kołatać bezpośrednio i pośrednio rozmaici Niemcy, pragnący stać się temi „ofiarami"...

Niestety, nie wyzyskaliśmy odpowiedniej chwili, — nie skorzystaliśmy z pomyślnych konjunktur i upraw-

nień, które niewątpliwie zmniejszyłyby ilość ludności niemieckiej, a także i jej stan posiadania ziemskiego stokroć silniej.

Pomimo jednak nakazy berlińskie, Niemcy emigrowali w dalszym ciągu, zresztą usunięto przymusowo kilka tysięcy optantów (co stanowiło zaledwie połowę tego, cośmy mieli prawo usunąć), dość, że liczba mniejszości niemieckiej w r. 1928 w obu omawianych województwach spadła znów do 11,8% na Pomorzu i do 11,6% w Wielkopolsce.

Rozpatrując dołączone mapki, widzimy jednak, że rozmieszczenie tej mniejszości jest dla nas pod każdym względem niepomyślne, a w danym razie może i musi stać się bardzo niebezpieczne.

prywatna znajduje się w rękach niemieckich i gminy te położone są przeważnie w najniebezpieczniejszych dla nas miejscach.

Stosunek posiadanej ziemi do liczby mieszkańców okaże się jeszcze bardziej groźny, jeśli uwzględnimy tylko własność prywatną polską i niemiecką. W 13-tu powiatach nadnoteckich, stanowiących granicę pomiędzy Wielkopolską a Pomorzem, na ogólną ilość ziemi prywatnej, wynoszącą 746,967 ha (ogólny obszar tych powiatów wynosi 988,410 ha), w r. 1914 w rękach niemieckich było 399,843 ha, a w polskich tylko 347,124 ha. Przez 6 lat gospodarki polskiej, zdołaliśmy od Niemców odebrać tylko 81,981 ha, czyli, że w tym obwodzie (dawniej regencja Bydgoska) od odbudowania Polski,

szkalnych i ostatnio, nikczemne prawo o przymusowem wywłaszczeniu tam, gdzie tego będzie wymagała „zagrożona niemczyzna" — to etapy konsekwentnego i systematycznego wywłaszczania ziemi polskiej, — wywłaszczania, które tysiącznemi utrudnieniami kredytowemi, nakazami i zakazami administracyjnemi, grzywnami sądowemi i t. p. prowadzili Niemcy bez wytchnienia i najmniejszej litości. To też, *posiadłości* niemieckich w zachodniej Polsce nie można nazwać inaczej, jak, conajmniej w 75% zrabowaną nam ziemią, i w konsekwencji, wykup jej z rąk niemieckich jest tylko restytucją prawa *własności*. Pod tym tylko kątem można i należy rozpatrywać stosunki polsko-niemieckie na kresach zachodnich i tak na to patrzą, zarówno wy-

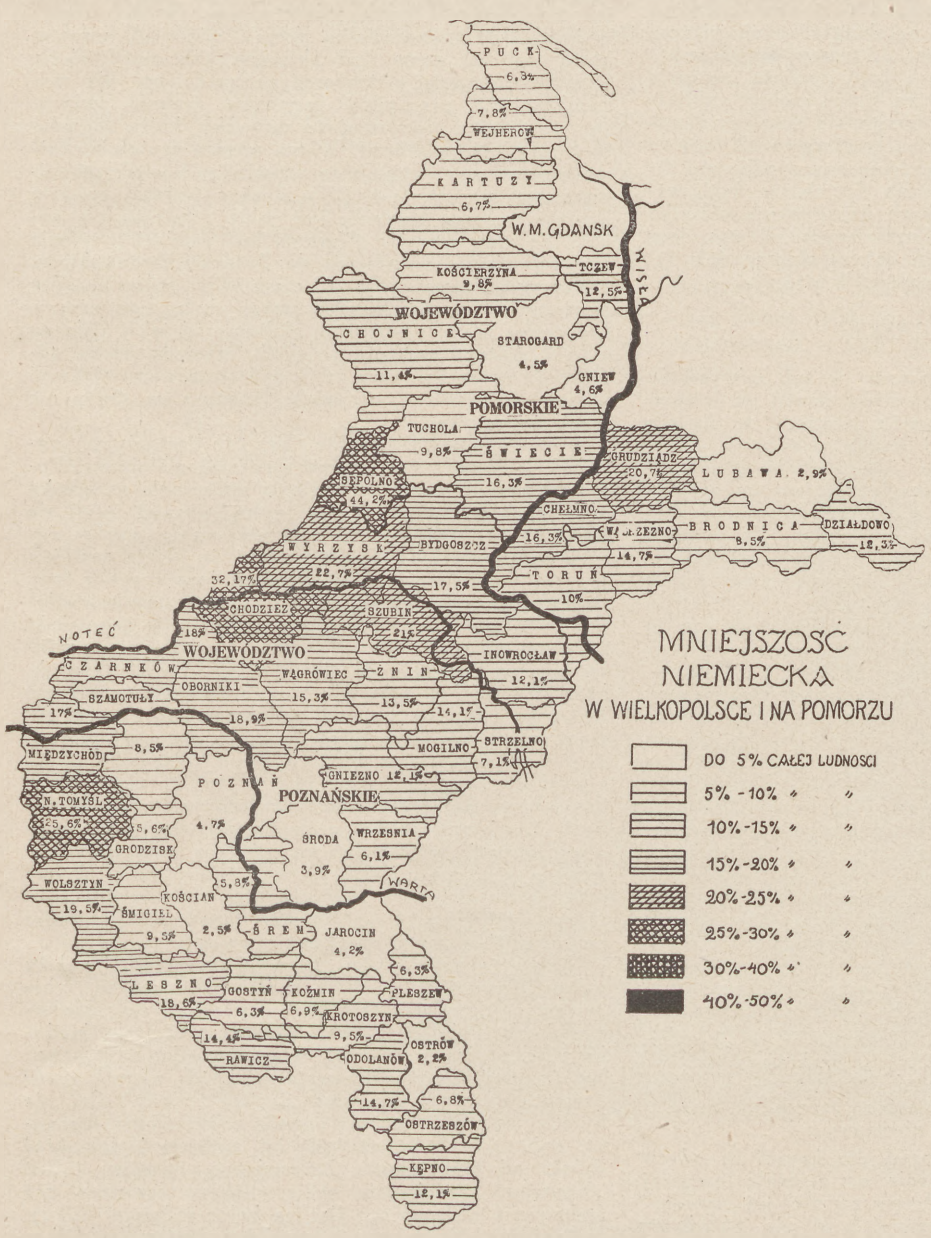

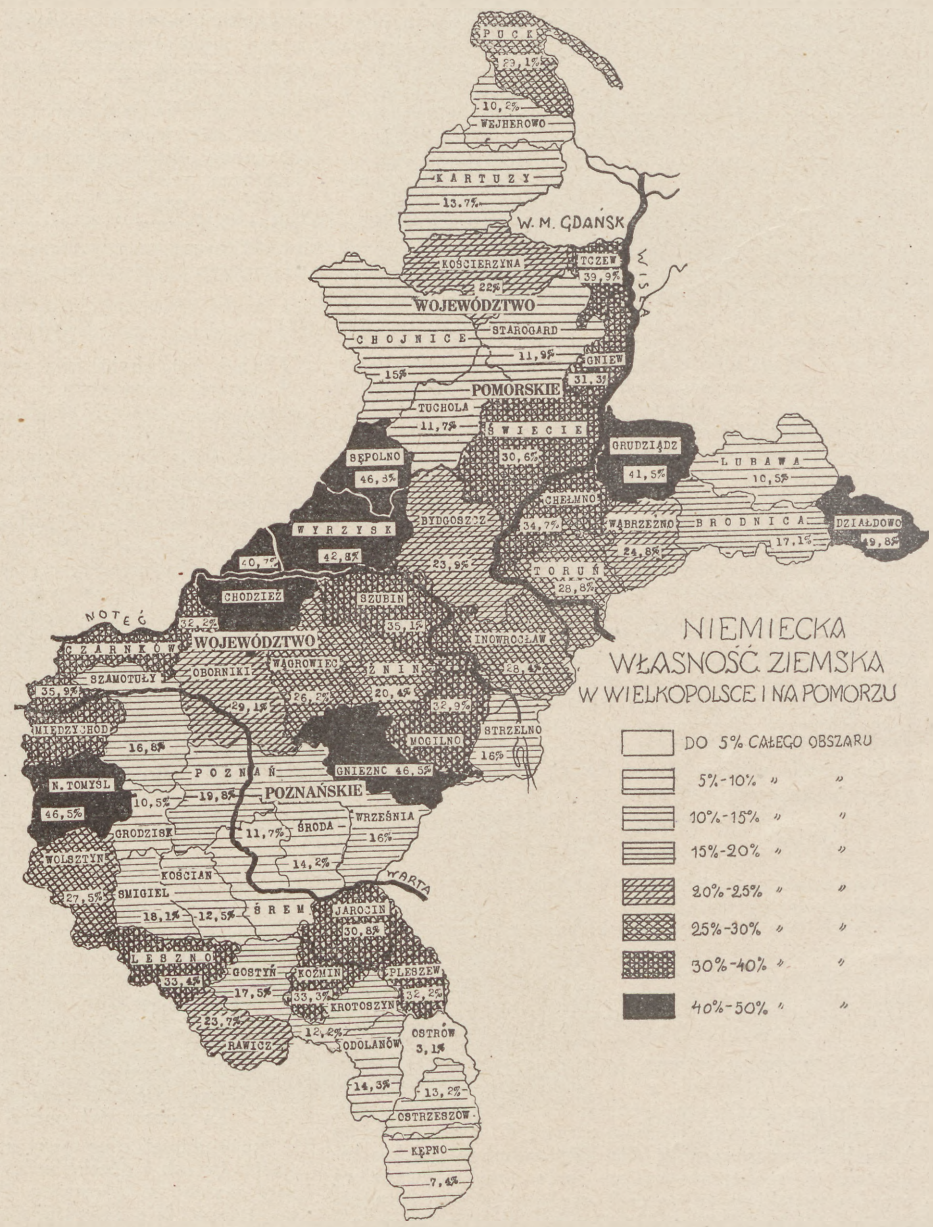

Najgęściej zaludniają Niemcy powiaty pograniczne, oraz pas nad Notecią, Brdą i częścią Wisły około Grudziądza. Gdyby można było w tak małej skali wykreślić zaludnienie wedle gmin, przekonalibyśmy się, że wytworzył się o wiele gęściej zaludniony, istotny „korytarz", łączący Prusy Książęce (Wschodnie) z Niemcami, a na samem pograniczu znajduje się „żywy wał" niemiecki, całkiem otwarcie zresztą traktowany przez politykę hakatystyczną rządu niemieckiego, jako przednia straż niemczyzny, o tyle skuteczniejsza, że działa na gruncie i w obrębie granic Polski. Po tamtej stronie zresztą, Berlin jak najusilniej pracuje nad wytworzeniem takiego samego „żywego wału" niemieckiego, projektując i coraz energiczniej wprowadzając w życie kolonizację pogranicza przez osadników z głębi Niemiec, przy jednoczesnem wydzieraniu najrozmaitszemi sposobami ziemi z rąk polskich.

Jeżeli w globalnem ujęciu, liczebność Niemców w zachodniej Polsce nie jest zbyt wielka, to wprost zatrważająco przedstawia się ich stan posiadania ziemskiego, co graficznie przedstawione jest na drugiej mapce B. Prosty rzut oka wskazuje, jaka istnieje tam szalona dysproporcja pomiędzy liczebnością Niemców. Pogranicze, oraz „korytarz" nadnotecki znajduje się w posiadaniu Niemców, którzy naogół mają w Wielkopolsce w swych rękach 25,1% a na Pomorzu 22,6% całego obszaru tych województw. W powiatach pogranicznych i nadnoteckich posiadłości te dochodzą do 50% niemal, przyczem są gminy, gdzie cała własność

procent posiadłości niemieckiej spadł zaledwie z 40,8% na 32,4%.

W całej Wielkopolsce było w r. 1914 w rękach niemieckich 966,053 ha, a w r. 1926 jeszcze 667,187 ha, czyli, że odzyskano zaledwie 298.866 ha.

Na Pomorzu niemiecka posiadłość prywatna wynosiła w r. 1914 — 309,354 ha, czyli 36,8%, a w r. 1926 jeszcze 204,261 ha, czyli 24,3%. Razem tedy w woj. poznańskiem i pomorskiem posiadłość niemiecka wynosiła 1.036.025 ha, czyli 24,1%. Jeżeli więc ludność niemiecka wynosiła w tymże czasie około 11%, to jasne jest, że Niemcy posiadają w Polsce o wiele więcej ziemi, niżby to powinno było przypadać w stosunku procentowym i że posiadłość ta nie zmniejsza się tak, jakby nakazywała elementarna sprawiedliwość. Pamiętać bowiem należy, że, aczkolwiek wywłaszczeń ziemi polskiej, w formalnem tego słowa znaczeniu dokonano na rzecz „zagrożonej niemczyzny" tylko w 4 wypadkach, to jednak olbrzymia większość gruntów, znajdujących się w rękach niemieckich jest wynikiem wywłaszczeń faktycznych, a mianowicie tej polityki germanizacyjnej, która kazała przedewszystkiem wyrwać Polakowi najtrwalszy grunt z pod nóg, a mianowicie ziemię. W tym celu, rząd pruski, od najdawniejszych do ostatnich czasów otaczał kolonizację niemiecką równie gorliwą opieką i materjalną pomocą, jak z drugiej strony utrudniał na każdym kroku życie i pracę rolnictwa polskiego. Słynna bismarkowska Komisja Kolonizacyjna, potem zakaz wznoszenia budynków mie-

bitni w tym kierunku działacze prof. Un. Pozn., poseł Bohdan Winiarski, b. prezes Prokuratorji Gener. w Poznaniu p. Kazimierz Kierski, jak i Związek Obrony Kresów Zachodnich, instytucja gorliwie i energicznie pracująca nad restytucją należnych nam praw, na czele której stoi od szeregu lat dyrektor Mieczysław Korzeniowski.

Na zakończenie, należy podkreślić ogromną, smutną dla nas różnicę, jaka zachodzi w traktowaniu sprawy polsko-niemieckiej w Polsce i w Niemczech. Podczas, kiedy tam olbrzymia większość społeczeństwa, w najbardziej oddalonych od granicy polskiej krajach, zmobilizowała wszystkie swe siły, — zorganizowała się w niezliczonych *verein'ach*, dysponujących ogromnemi środkami materjalnemi i dążących do ponownego *zrabowania* nam Pomorza, Wielkopolski i Śląska, my, zachowujemy dziwną obojętność dla tych niesłychanie doniosłych spraw, ważnych dla wolności całej naszej własnej ojczyzny: mając parę zaledwie organizacyj, broniących naszego zachodu, nie popieramy ich tak, jak na to ze względu na swą działalność zasługują i jak tego nasz własny interes wymaga. Związek Obrony Kresów Zachodnich, pomimo, że broni całości Rzplitej i działa z całą energją i świadomością swego zadania, poza zachodniemi dzielnicami liczy nadzwyczaj mało członków i, wstyd przyznać, w wielu miejscowościach jest nawet prawie nieznany...

Włodzimierz Dworzaczek

IDEE I ZDARZENIA

FINANSOWY PLAN RATOWANIA ROLNICTWA

Zwracaliśmy już uwagę na tem miejscu na artykuły świetnego znawcy spraw rolnych w Polsce, *d-ra Alfreda Morstina*, z okazji wysuniętego przez niego na łamach krakowskiego „Czasu" projektu organizacji sprzedaży ziemiopłodów. Obecnie czytamy na łamach *Dnia Polskiego* nowy artykuł tego fachowca p. t. *Sanacja finansów rolnictwa*. Uderza on przedewszystkiem tonem stanowczym, niechęcią do półśrodków i oportunistycznego wystrzegania się ostrych formułowań, jakgdyby w obawie przed demagogją polityczną i społeczną. Uderza również męskim optymizmem, który nie waha się postawić obok siebie stwierdzenia jak najgorszej sytuacji i pokazania środków, mogących sytuację tę polepszyć. „Chyba wszystkim tym czynnikom — pisze dr. Morstin — które mają w tej sprawie coś do powiedzenia, otworzyły oczy fakty niezbite, jak obniżenie wpływów podatkowych i dochodów z monopolów, masowe bankructwa w handlu i przemyśle i groźna przestroga, że jeżeli się nie załatwi sprawy pomocy finansowej dla rolnictwa, nie czekając na problematyczną pomoc z zagranicy — to życie gospodarcze musi się załamać w zupełności".

Plan autora polega na rozróżnieniu dwu typów długów, obciążających rolnictwo: długów, które z różnych powodów muszą być przez rolników uiszczane bez żadnych udogodnień, i długów, co do których ingerencja państwa jest możliwa i konieczna. Do typu pierwszego zalicza autor długoterminowe pożyczki towarzystw kredytowych, długi hipoteczne względem osób prywatnych, długi w bankach prywatnych i zaległości podatków komunalnych. Inne zobowiązania, zdaniem autora, wymagają dobroczynnej ingerencji państwa. Żąda więc dr. Morstin amnestji dla zaległości podatków państwowych, twierdząc, że wzmocni to znakomicie bieżące wpływy podatkowe. Tę samą zasadę propaguje autor w stosunku do zaległości w Kasach Chorych i Ubezpieczeń. Kredyt w bankach państwowych powinien być, zdaniem autora, skonwertowany w ten sposób, aby dawał roczne moratorjum sześcioletnie rozpłaty i obniżenie stopy procentowej do 6 rocznie. Ale najciekawszy jest projekt d-ra Morstina odnośnie do zobowiązań lichwiarskich, jak wiadomo bardzo rozpowszechnionych w rolnictwie. Na ten cel rząd musiałby wypuścić premjową pożyczkę wewnetrzną i wzamian za zabezpieczenie hipoteczne dać lichwiarzom — nawet używając pewnego przymusu — premiową obligację. Ta kategorja wierzycieli od dwóch lat bierze tak duże procenta, że o ich pokrzywdzeniu nie może być mowy, a wielu z nich będzie zadowolonych, że zamiast niepewnej należności — staną się posiadaczami pewnego papieru".

Ten ostatni projekt niewątpliwie jest ryzykowny. Czy jednak nie należałoby się chwycić środków heroicznych tam gdzie to jest konieczne? Jedno bowiem jest pewne: jeżeli rząd nie przyśpieszy projektowanych ustaw ratowniczych, to mogą one być w znacznej mierze spóźnione. A przecież to nie leży w interesie ani rolnictwa, ani państwa w całokształcie.

LITERACI TEŻ MUSZĄ CZYTAĆ

Pod nieco złośliwym tytułem *Pomoc umysłowa dla literatów* porusza słuszną sprawę *R. Bystrzyński* na łamach *Rzeczypospolitej (Nr. 87)*: zasobne polskie bibljoteki z uniwersytecką na czele przystosowane są przedewszystkiem do potrzeb naukowców i przeważnie dostępne dla ludzi nauki. Niema natomiast zupełnie bibljotek dla literatów, którzy, jeżeli chcą utrzymać się „w kursie" i być obeznanymi z bieżącemi publikacjami za pośrednictwem pism krajowych i zagranicznych lub przez bezpośrednie obcowanie z dziełami literackiemi — skazani są na czytelnie prywatne, niekompletne i niewystarczające. „Wygląda tak — pisze autor artykułu — że ważniejszy jest od Sienkiewicza lub Wyspiańskiego ten, który pisze o Sienkiewiczu i Wyspiańskim. Wygląda tak, że biblioteki trzeba przepełniać tylko takiemi dziełami, które weszły w stadium kiedy to się już książka „jak figa ucukruje, jak tytoń uleży", kiedy przestała być pulsującym współczesnością tworem, a stała się tekstem wydanym na żer historyków literatury".

Z tym żerem to jest trochę przesada, ale fakt pozostaje faktem, że regulaminy naszych bibljotek tak są ułożone, jakgdyby egzemplarz np. książki Adamczewskiego o Żeromskim powinien być każdemu dostępny, gdy natomiast egzemplarz „Popiołów" można otrzymać dopiero po przedstawieniu zaświadczenia od profesora uniwersytetu, że dany czytelnik jest badaczem twórczości powieściowej. Czy to nie bezsens? Czy doprawdy chodzi o zatamowanie czytania powieści i ograniczenie lektury do książek naukowych? „Żebyśmy mieli choć tysiączną część tego co naukowcy!" — woła Bystrzyński. I niema w tem doprawdy wielkiej przesady.

GOETEL PO ANGIELSKU

Dr. Marjan Z. Arend (Tęcza, Nr. 13) przynosi wiadomość oddawna oczekiwaną, że drukowana na łamach Tygodnika Illustrowanego powieść Ferdynanda Goetla p. t. „Z dnia na dzień" wyszła już w języku angielskim.

„Nakładem Elkina Mathewsa w Londynie ukazała się powieść Ferdynanda Goetla p. t. „Z dnia na dzień" w tłumaczeniu angielskiem. Tłumaczka, Miss Winfred Cooper, wywiązała się ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu krytyki, darzącej przekład ten epitetem „admirable". Ponadto goetleowskie „From Day to Day" wychodzi w świat anglosaski pod auspicjami nie byle jakiemi, bo nie kto inny jak sam znakomity John Galsworthy, przyjaciel Józefa Conrada i gość zeszłoroczny polskiego Pen-Clubu, napisał wstęp, w którym słusznie podkreśla nowość i trudność arcyciekawej metody powieściopisarskiej pierwszego utworu Goetla, jaki się ukazuje w przekładzie angielskim. Galsworthy podnosi efektowność swej pochwały przestrogą, daną niedoświadczonym angielskim pisarzom, aby nie odważyli się iść zbyt pochopnie za przykładem tej metody, polegającej na równoczesnem kreśleniu dziennika bohatera-pisarza i powieści autobiograficznej, pisanej przez tegoż bohatera. „Times Litterary Supplement" zamieszcza na temat Goetla i jego powieści recenzję niezwykle obszerną i zaszczytną, która zachęci publiczność angielską do intensywniejszego, niż dotąd zainteresowania się twórczością polskich beletrystów. Byłoby to pożądane, choć spóźnione, oddanie sprawiedliwości literaturze polskiej, beznadziejnie dotychczas dystansowanej na anglosaskich rynkach księgarskich nietylko przez Niemców i Rosjan, liczniejszych od nas, lecz nawet przez narody liczebnie daleko słabsze, jak np. Holendrów, Duńczyków, Szwedów, Węgrów".

GĘSI I GĄSKI

Trzeci już chyba raz wracamy w tej rubryce do spraw, związanych z rozkwitem poezji na łamach katowickiej *Polonji*, choć, trzeba przyznać, że istnieją sprawy i ważniejsze i mniej nudne na świecie. Jeżeli jednak jakiś objaw powtarza się nagminnie na łamach tego samego pisma, to widocznie nie jest on zasługą jednostki, lecz zbiorowości: nietylko bowiem redakcja bierze za to odpowiedzialność na siebie, ale ponadto i każdy cichy czytelnik tego pisma. Ponieważ milczenie w takim wypadku oznacza przytakiwanie, przeto wracamy raz jeszcze to tego tematu.

Rozumiemy dobrze, że pan *Gąska*, gdyż o nim tu naturalnie mowa (choć istnieje w tem piśmie rodzony brat jego t. zw. Jotes) gdy się zakochał po raz pierwszy musiał napisać wiersz liryczny do ukochanej, wiersz który był potem przyczyną wielu przykrości, jakie miał w życiu. Miłość to ma do siebie, że obnaża człowieka — natomiast ironja, poczucie śmieszności są już uczuciami człowieka w ofensywie, który krytykuje, wyszydza i gromi. Tu już niema okoliczności łagodzących, tu trzeba dowcipem i kunsztem górować nad tematem, w przeciwnym bowiem razie musi taka donkiszoterja czynić wrażenie żałosne.

Tym razem *(Nr. 2327)* gąska postanowiła zaatakować b. marszałka senatu prof. Szymańskiego we „fraszce" p. t. *Reformator*. Nie myślimy tu bronić przed Gąską działalności prof. Szymańskiego, w czasach jednak „Cyrulika Warszawskiego" popisywać się publicznie wypocinami tego rodzaju, jest dowodem nieprawdopodobnej bezkarności pisma wobec swych czytelników.

„Nie spotkał się w Polsce z posłuchem,
Gdy czcić chciał kijowską wyprawę —
Śmiech pusty, milczenie mu głuche
Za odzew dał naród niemrawy..."

Może nawet niemrawy naród dał komuś za odzew pusty śmiech i głuche milczenie, ale należało to raczej utrzymywać w tajemnicy. Dalsze zwrotki tej „fraszki" są gorsze. Nie przedrukujemy ich za nic. Składamy również uroczyste zobowiązanie, że nigdy już nie będziemy pisać o poezji katowickiej Polonji. Pan Gąska i inne gąski przestają dla nas istnieć. Wolimy już czas poświęcać gęsiom prawdziwym, tłustym i opierzonym, ponad 5 kilo wagi. Jest przynajmniej co wziąć w rękę.

MUZEUM NARODOWE W R. 1935

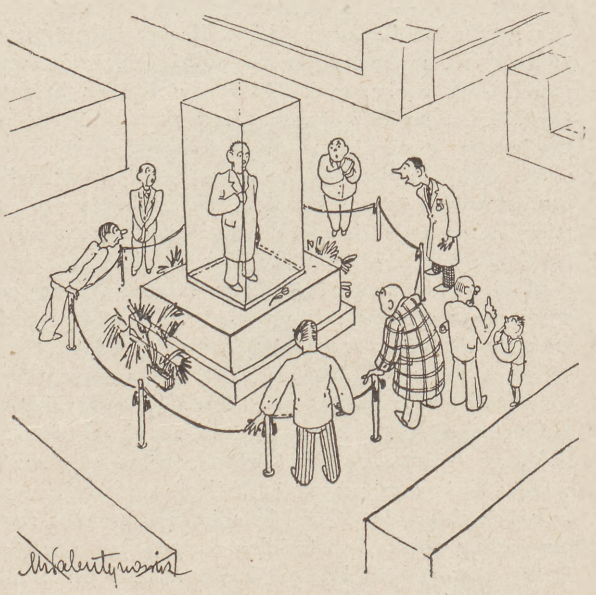

Jedyny Polak, który jeszcze nie otrzymał orderu (Rys. M. Walentynowicz)

TALENT LITERACKI „NAPRZODU"

Tydzień temu, w ostatnich Ideach i Zdarzeniach, poruszaliśmy sprawę tej rubryki „Naprzodu", w której przedrukowywane są utwory wielkich polskich pisarzy w ten sposób, żeby uzyskać przygodne aluzje do wydarzeń dzisiejszych, ujętych pod kątem poglądów politycznych tego pisma. Cytowaliśmy tam właśnie piękny urywek z „Balladyny" Słowackiego, z którego miało wynikać, że mamy za duże podatki w Polsce, a wynika, że naciąganie znakomitych utworów do potrzeb codziennych jest czynnością niewdzięczną i ryzykowną. Ale ostatecznie nie było w tem nic zdrożnego: lepiej drukować Słowackich i Mickiewiczów, niż własne kiepskie Gąski.

I oto nagle ta małoważna sprawa stała się ważną. *Naprzód* w *N-rach 70* i *71* wydrukował w całości nowelę Stefana Żeromskiego p. t. „Ananke", zamieszczając następującą notatkę informacyjną: „Przedrukowywujemy dziś nieśmiertelną nowelę wielkiego pisarza, która jest tak samo dziś aktualna, jak przed 36-ciu laty. Dzisiejszą jej aktualność podkreśliliśmy dla czytelników ery sanacyjnej zapomocą drobnej zmiany, zaczerpniętej z rzeczywistego wypadku, który się zdarzył przed kilku dniami. W ten sposób czytelnicy łatwo zrozumieją, dlaczego to opowiadanie wielkiego pisarza jest nieśmiertelne". Tą drobną zmianą, zawartą istotnie w kilku słowach, jest takie przeinaczenie noweli, że motywem jej głównym jest zamiast przyjęcia prawosławia — wstąpienie do Związku Strzeleckiego.

Kurjer Czerwony (Nr. 77) pisze w tej sprawie: „Ten barbarzyński postępek nie wymaga chyba komentarzy. Dla celów agitacji partyjnej sfałszowano tekst jednego z największych pisarzów polskich, czystego ducha, górującego przez całe swe życie nad wszelkiemi niskiemi sporami i waśniami, człowieka, który z za grobu nie może protestować".

A *Wiadomości Literackie (Nr. 14)* komentują: „postępek Naprzodu jest czemś nieprawdopodobnem. Pomińmy sam idjotyzm zestawienia wstąpienia urzędnika w naszych warunkach do „Strzelca" (nawet jeżeli się to dzieje pod przymusem) z przejściem za czasów niewoli na prawosławie. Pomińmy fakt, że patetyczna i tak groźnie przez Żeromskiego przedstawiona rozpacz żony z powodu zhańbienia się męża nabiera w tem oświetleniu cech komicznych. Pomińmy wreszcie, że zapowiedź „drobnej zmiany" daje „Naprzód" w pierwszym odcinku, a samą zmianę w drugim, i w ten sposób czytelnik, który nie miał w ręku pierwszego odcinka, nawet nie jest o tej „drobnej zmianie" poinformowany, a tem samem został oszukany, gdyż Żeromski nie pisał tego co pod jego nazwiskiem idzie w świat. Wszystko to są niemal drobiazgi w porównaniu z tem, że dla krótkodystansowych może jednodniowych, celów politycznych bezceremonjalnie dopuszczono się fałszerstwa dzieła sztuki, wypaczając je nietylko pod względem merytorycznym ale i estetycznym. Żaden cel — choćby słuszny — nie może uświęcić tego rodzaju środków. Raczej możnaby powiedzieć, że tego rodzaju środki kompromitują nawet najsłuszniejsze cele".

Nie ulega wątpliwości, że czyn „Naprzodu" należy zakwalifikować jako ostrą manję. Nie można sobie inaczej wytłumaczyć tego barbarzyństwa, jak chorobliwą chęcią wciągnięcia wszystkiego, co zostało kiedykolwiek napisane, w krąg własnej walki politycznej. W ten sposób można trawestować każdy niemal utwór świata, czyniąc w nim owe „drobne zmiany". Czy nie byłoby logiczniej napisać nowelę o określonej tendencji politycznej? Nawet jeśli jej autorem będzie ktoś daleki od siły talentu Żeromskiego, domowy talent „Naprzodu", zdobędzie sobie większy rezonans, niż farbowanie niebieskiego lisa na kolor rodzimej lisiury.

Psychoza. Może nawet sam fakt nie jest, jako bez znaczenia, tak oburzający, jak jego motywy. Coraz bardziej pachnie w naszem życiu politycznem kliniką psychopatologiczną.

UPIÓR W OPERZE

W operze całego świata poczyna coraz bardziej straszyć. Dopóki problemat kryzysu opery był wytworem czysto polskich stosunków, możnaby było się bronić przysłowiową niemuzykalnością Polaków, wreszcie zastraszającym brakiem kultury muzycznej wśród szerokich warstw inteligencji. Ale teraz nadchodzą coraz bardziej niepokojące wieści z najbardziej muzykalnych miast świata, które zdają się wskazywać, że w operze zagospodarował się nadobre upiór zagłady, którego niełatwo stamtąd będzie wyrugować.

P. *Wł. Pięta-Urbanowicz* charakteryzuje kryzys operowy we Francji i w Austrji bardzo szczegółowo w artykule p. t. *„Światowy kryzys operowy" (Kurjer Poranny, Nr. 93)*. Zacytujemy tu z tego artykułu ustęp z przemówienia posła Loquin'a, uzasadniającego w parlamencie konieczność podwyższenia subwencji dla Opery Paryskiej do 3.200.000 fr., gdy subwencja ta w roku 1928 wynosiła wszystkiego 1.600.000 fr., a więc zaledwie połowę. „W pierwszem półroczu 1929 — mówił Loquin — sezon teatralny był wyjątkowo niepomyślny. Taka sama sytuacja daje się zauważyć w teatrach operowych zagranicą. Wszystkie teatry operowe w Europie, administrowane lub subwencjonowane przez państwa lub miasta — Berlin, Wiedeń, Praga — wykazały w r. 1928 bilansy bierne, przekraczające w niektórych wypadkach miljony, miljony franków". Dyskusja, jaka rozwinęła się na ten temat w prasie, prowadzona przeważnie przez fachowców, wykazała, że każdy z ekspertów dopatruje się przyczyn kryzysu w najzupełniej innych elementach; utrudnia to jeszcze orjentację co do programu naprawy.

W GRODZIE TARNOWSKICH

Szeroka, nieźle utrzymana ulica Krakowska prowadzi z wygodnego i obszernego dworca kolejowego w Tarnowie do wnętrza miasta. Zdobią ją liczne sklepy, magazyny mód i nowości; w ich urządzeniu przejawia się tu i ówdzie sporo smaku estetycznego. Tarnów słynie od dawna ze sztuki krawieckiej. Charakter miasta jest handlowy, przeważa ludność żydowska, zamieszkująca dzielnicę wokół ulicy Lwowskiej i placu Rybnego, który obok targu na pięknym Rynku i na Burku, jest głównym ośrodkiem handlu tarnowskiego.

W dni deszczowe nie bardzo estetycznie przedstawia się owo ghetto, a niektóre jego uliczki, zakątki i zaułki urągają wprost najprymitywniejszym wymaganiom higjeny i estetyki. Pod tym względem ghetto tarnowskie nasuwa liczne analogje z równie zaniedbanemi i cuchnącemi zaułkami wileńskiemi. Czy nie należałoby, nie psując w niczem starego i historycznego charakteru naszych miast prowincjonalnych, przestrzegać w nich większej czystości i porządku? W krajach zachodu, w Niemczech, Holandji czy we Włoszech, nie słynących przecież doniedawna ze zbytniej czystości, nie znajdzie się nigdzie tyle brudu i niechlujstwa, a nawet w najmniejszych miasteczkach, do których zjeżdżają nieraz tłumnie cudzoziemcy, można zamieszkać w mniej lub bardziej komfortowych hotelach z kaloryferami i bieżącą wodą w każdym pokoju. U nas niestety jest inaczej! A wielka szkoda, gdyż brak czystości i porządku, brak wygodnego pomieszczenia na jedną, czy dwie noce odstrasza mniej odważnych od zwiedzania miast i miasteczek polskich, mogących się pochlubić niejednokrotnie istnemi skarbami sztuki!

Tarnów jest pod tym względem jednem z ciekawszych miast Małopolski zachodniej. Pociąga już samo położenie wśród pagórków w niedużej odległości od Dunajca. Na jednym z owych pagórków wznosi się czarujący, średniowieczny kościołek św. Marcina, dokąd letnią porą ciągną sznury pobożnych pielgrzymów, jakoteż miłośników sztuki i piękna. Malowniczy bowiem widok rozlega się stąd na całą okolicę, aż hen ku Karpatom z jednej strony, z drugiej zaś ku Mościcom, których szybki i chwalebny rozwój przyczyni się niezawodnie wielce do wzrostu samego Tarnowa. Na drugiem wzgórzu, odległem nieco od góry św. Marcina znajdują się nikłe tylko ruiny pierwotnego grodu Tarnowskich, przeniesionego z czasem w dolinę, gdzie poczęto się rozbudowywać głównie wokoło rozrastającego się i coraz bogaciej zdobionego kościoła kollegjalnego, zamienionego na kościół katedralny, jeden z najpiękniejszych w Polsce.

Tarnów, przecięty rzeczką Wątok, przepływającą przez dzisiejsze przedmieścia, zawdzięcza, — jak się zdaje — swą nazwę dużej ilości tarniny, rosnącej podówczas w tych miejscach. Tak przynajmniej podaje Długosz.

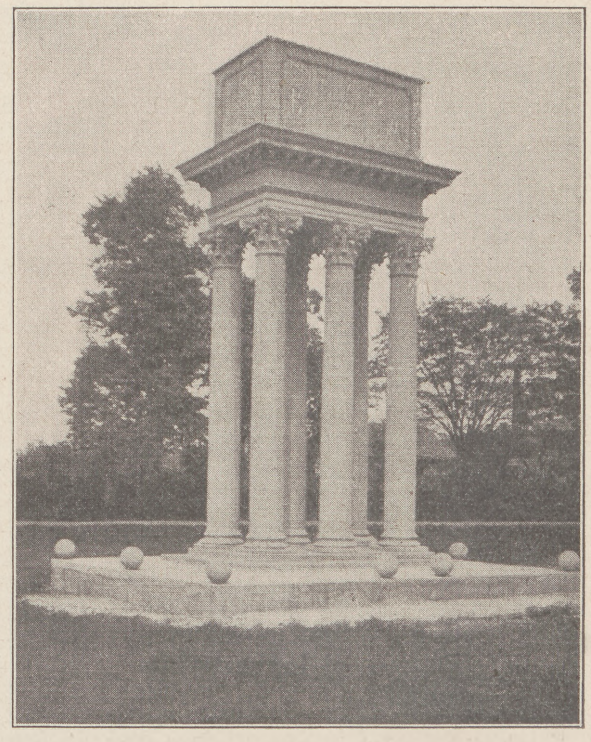

Mauzoleum Bema

Renesansowy ratusz w Tarnowie *Photo-Plat*

Od roku 1333-go Tarnów stał się miastem na prawie niemieckiem, a to na podstawie przywileju, nadanego przez króla Władysława Łokietka Spicymierzowi z Melsztyna i Tarnowa. Od tego czasu zaznacza się stały rozwój miasta, głównie dzięki opiece potężnych jego panów, z których zasłużył się może najwięcej przedostatni przedstawiciel rodu na Tarnowie, hetman Jan Tarnowski świetny zwycięzca z pod Obertyna. Przez stosunki i wpływy swych panów rodowych miasto zyskiwało coraz liczniejsze przywileje, które przyczyniły się do wzrostu dobrobytu jego mieszkańców. Po krótkiem władztwie Krzysztofa Tarnowskiego, syna hetmana, przechodzi gród Tarnowskich, jako posąg córki hetmana, Zofji, do rodziny Ostrogskich, co spowodowało nawet zajazd niezadowolonych potomków bocznej linji Tarnowskich, załagodzony osobistą interwencją króla Zygmunta Augusta, który przysądził Tarnów Ostrogskim. Później przeszło miasto w posiadanie Sanguszków, by wreszcie, uniezależnione od zamku, rozpocząć własny żywot jako wolne miasto, poddane państwowej administracji austrjackiej z najwyższym na całą ówczesną Galicję sądem „Forum nobilium". Gmach, który był siedzibą owego najwyższego trybunału wymaga obecnie odnowienia i konserwacji przez miasto, celem ochronienia go przed wandalizmem prywatnych nabywców tego ciekawego zabytku budowli pijarskiej.

Z zabytków Tarnowa, świadczących o chlubnej jego przeszłości najciekawsze są: Katedra i Ratusz. Nie brak również poważnych szczątków dawnych murów ochronnych, z których słynął gród Tarnowskich. Można je oglądać z kilku podwórzy domów przy ulicy Wałowej.

Katedra tarnowska, na zewnątrz nieźle zharmonizowana budowla o charakterze gotyckim z licznemi zczasem przybudowanemi kaplicami i wysmukłą wieżą,

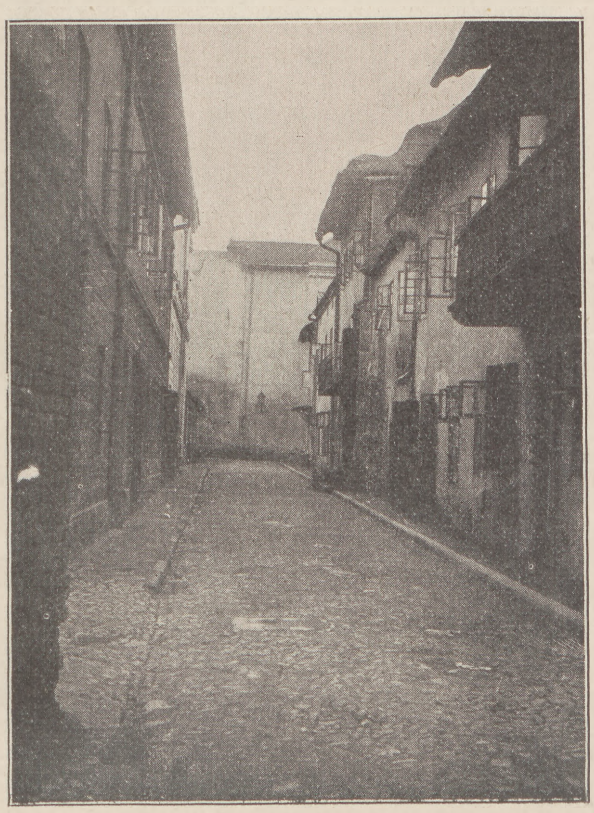

Jeden z zaułków tarnowskiego ghetta

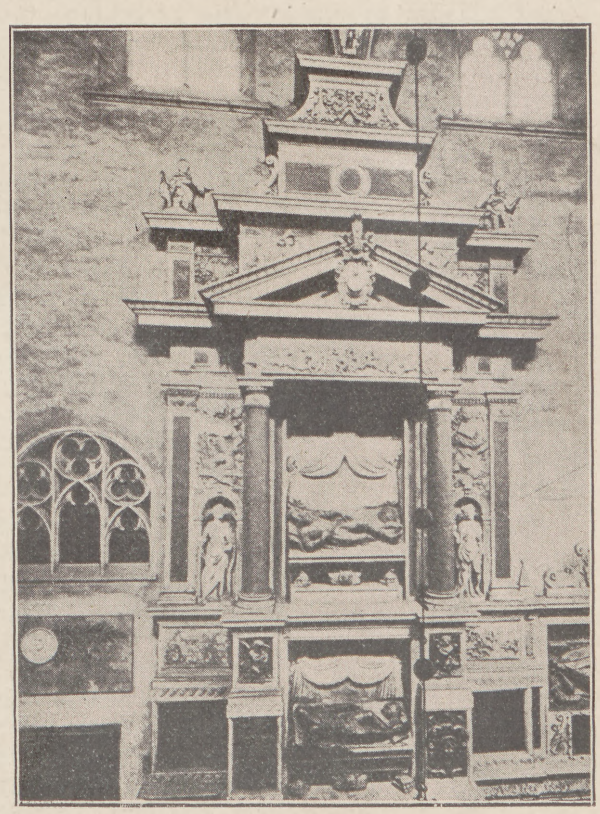

Pomnik rodziny Tarnowskich

Cenny i stary ornat z katedry w Tarnowie

uwieńczoną złotą koroną, posiada w swem wnętrzu ogromne bogactwo dzieł sztuki. Najdawniejszym pomnikiem jest ciekawy w rysunku i ujęciu renesansowy podwójny sarkofag Jana Amora, kasztelana krakowskiego i Jana, wojewody sandomierskiego. W prezbiterjum zwracają uwagę dwa, olbrzymich rozmiarów, pomniki grobowe Tarnowskich i Ostrogskich. Pomnik hetmana Tarnowskiego i jego syna Krzysztofa z dołączonym z boku pomnikiem Zofji, córki hetmana, psującym nieco harmonję całości, jest dziełem wybitnego artysty włoskiego, Jana Marji Mosca, znanego u nas powszechnie pod nazwą Padowana, sprowadzonego do Polski przez króla Zygmunta Starego, celem wykonania nagrobka królewskiego w Kaplicy Zygmuntowskiej w Katedrze na Wawelu. Pomnik, tworzący rodzaj kaplicy, zakończony jest pięknym w linji kapitelem, ozdobionym wspaniałym maszkaronem, nad którym na szczycie wznosi się wyniosła postać zmartwychwstałego Chrystusa. Pola, pokryte bogatemi płaskorzeźbami, przedstawiającemi fragmenty zwycięstw znakomitego wojownika, jak również pilastry, zdobne w rozpowszechnione podówczas panopljony i groteski oraz czarujące, prześliczne w miękkości linji i subtelności wyrazu dwa aniołki śmierci stanowią świetne tło dla spoczywających, jakby snem złożonych, obu postaci wojowników.

Naprzeciw tego istotnie pięknego pomnika, przekraczającego rozmiarami nieco szczupłość miejsca znajduje się również olbrzymie mauzoleum rodziny Ostrogskich z marmuru i alabastru, dłuta Jana Pfistra z Wrocławia. Jak mauzoleum Tarnowskich jest kwintesencją stylu renesansowego w Polsce, tak znów pomnik grobowy Ostrogskich jest wymownym przykładem ładnego, aczkolwiek nieco w ozdobach przeładowanego baroku. Nadmiar świetnie zresztą rzeźbionych postaci wprost przytłacza swojem bogactwem.

Oprócz kilku jeszcze pomniejszej wagi pomników i nagrobków należy przedewszystkiem podkreślić szlachetne piękno i prostotę linij sarkofagu Barbary z Tęczyńskich Tarnowskiej, uważanego za jeden z najciekawszych nagrobków kobiecych na świecie, obok słynnego pomnika Illarji w katedrze w Lucce, dłuta Jacobo della Quercia. Sarkofag Barbary Tarnowskiej, umieszczony bardzo niekorzystnie w przyciemnionym zakątku Katedry, jest niewątpliwie dziełem jednego z włoskich artystów, przebywających na dworze wawelskim. Jedni uważają go za pracę Bartłomieja Berecci, głównego architekty królewskiego i twórcy Kaplicy Zygmuntowskiej, inni zaś przypisują jego autorstwo Janowi Cini'emu ze Sieny, również zajętemu przy kaplicy królewskiej. Do tylnej ściany Katedry tarnowskiej wtulone są, usunięte z prezbiterjum, prześliczne stalle z drzewa lipowego, ozdobione bogato urozmaiconym ornamentem.

Godnem uzupełnieniem dzieł sztuki w Katedrze samej jest skarbiec z niezliczoną ilością kosztownych tkanin, haftów i ornatów, jak również artystycznie wykonanych lichtarzy, pochodzących przeważnie z opactwa tynieckiego, kielichów, monstrancyj i mis srebrnych z pięknemi ornamentami. W związku z bogatym skarbcem katedralnym należy wymienić pięknie rozwijające się Muzeum diecezjalne, mieszczące się w gmachu Seminarjum duchownego pod pieczołowitą opieką ks. kanonika Bulandy. Muzeum tarnowskie, to jedno z najbogatszych i najpiękniejszych muzeów diecezjalnych na ziemiach Polski, powstałe w roku 1888 z inicjatywy ks. biskupa Łobosa. Zarządzenie papieskie tworzenia we wszystkich krajach muzeów kościelnych, stało się poważnym bodźcem dla wieloletniego kustosza Muzeum, ks. Bąby, do gromadzenia kosztownych tkanin i materyj, jakoteż rzeźb w drzewie i glinie, oraz obrazów ściennych i ołtarzowych z miasteczek i miast diecezji tarnowskiej. Dużo mieści się tu dzieł pędzla i dłuta domowych artystów wiejskich, odkrytych niejako w kościółkach i chatach, nawet w okolicy Sącza, Biecza, Szczawnicy, całego wogóle Podkarpacia. Ks. Bulanda, kanonik Katedry, z zapałem i znajomością rzeczy kontynuuje pracę ks. Bąby, gromadząc w dalszym ciągu prześliczne obrazy, figurki z drzewa polichromowane z XIV, XV i XVI wieku, jak również tkaniny, wśród których na uwagę specjalną zasługuje ogromna ilość prawdziwie pięknych i wartościowych ornatów, istnych dzieł sztuki.

„Św. Anna Samotrzecia". Rzeźba w drzewie, pochodząca z Olszyń. (Ze zbiorów muzeum diecez. w Tarnowie)

Ulicą Józefa Piłsudskiego, przy której mieści się muzeum, podążamy miłym spacerkiem przez świeżo zabudowującą się dzielnicę do obszernego parku miejskiego, gdzie na wysepce wśród jeziorka wznosi się w stylu neoklasycznym, przed dwoma laty przez Szyszkę-Bohusza zaprojektowane, mauzoleum generała Józefa Bema, bohatera polsko-węgiersko-tureckiego, o czem informuje przybysza napis w tych trzech językach umieszczony. Pomimo otoczenia, pełnego nastroju i poezji, nie czyni mauzoleum należytego wrażenia z powodu zbyt wysokich i zbyt ozdobnych kolumn korynckich, na których spoczywa tumba. Kolumny o kapitelach skromniejszych i o połowę niższe byłyby niezawodnie o wiele wyraziściej i silniej spełniały swe zadanie!

Zwiedziwszy ładny park, główny rezerwuar powietrza dla dzieci i dorosłych, zdążamy zpowrotem do miasta poprzez nieludzko zabłocony i nie woniejący plac Rybny, na którym się mieści stara bóżnica z ciekawemi renesansowemi pozostałościami we wnętrzu.

Zajrzawszy na placu Katedralnym jeszcze do t. zw. domu Mikołajowskiego, na którym widnieje data 1523, docieramy za chwilę na Rynek. Tu uderza przedewszystkiem specyficzny jego wyraz, zwłaszcza w dzień targowy. Dokoła prześlicznego ratusza renesansowego z attyką, podobną w rysunku do attyki na krakowskich Sukiennicach (obydwie są dziełem Jana Marji Mosca Podawana!), rozsiadły się wieśniaczki i przekupki z owocami, jarzynami, wędlinami i przeróżnemi innemi rzeczami. Opodal znów wieśniacy sprzedają wyroby drewniane, naczynia domowe, sprzęty, jako też prymitywne, ale dowcipne nieraz w pomyśle zabawki, cieszące nawet dorosłych. Bliżej znów murów, pod podcieniami rozłożyli swe kramy Żydzi, sprzedając galanterję, garderobę i bieliznę. Ruch, gwar, krzyk, ścisk! Sławą cieszą się od wieków owe historyczne Podcienia tarnowskie, pod któremi skupiał się ongiś tradycyjny handel winami węgierskiemi, rozsyłanemi stąd na całą Polskę. I dziś, choć na mniejszą, nieporównanie skromniejszą skalę, życie kipi tutaj i wre.

Zboczywszy na chwilę w zapadłe zaułki, w ulicę Zakątną i Zatylną, obejrzawszy historyczną kamienicę florencką z basztą okrągłą, przechodzimy przez Małe Schodki na t. zw. Burek, plac targowy na konie i bydło, by dostać się przez mostki na Wątoku na stary cmentarz, gdzie uwagę naszą zwraca przedewszystkiem mogiła powstańców z roku 1863-go, jak również grób znanego sybiraka i patrjoty, Rufina Piotrowskiego. Poza cmentarzem wznosi się drewniany, stary kościołek, podobny do kościołka Panny Marji, znajdującego się z tej strony miejsca wiecznego spoczynku wielu zasłużonych dla ojczyzny tarnowian. *Dr. Franciszka Szyfmanówna*

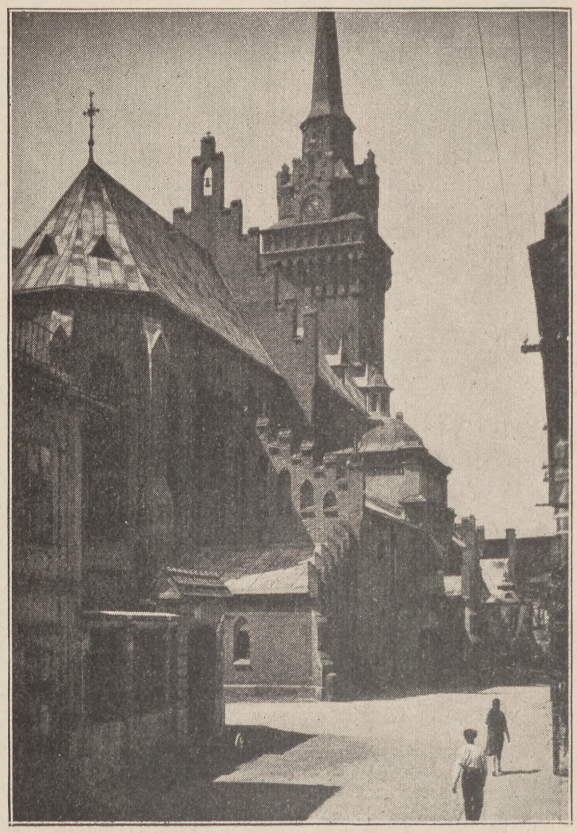

Katedra w Tarnowie

PISARZ, KSIĄŻKA I CZYTELNIK

„ROZGRZESZENIE"

Cytelnicy „Tygodnika Illustrowanego" świeżo mają w pamięci powieść L. H. Morstina pod tytułem powyższym. Ukazała się ona w książkowem wydaniu, nakładem F. Hoesicka.

W powieści tej mamy z jednej strony intrygę, sploty sytuacyjne — z drugiej dość luźnie z niemi związane ideologiczne rozważania autora. Strona zewnętrzna, fabularna zdała już celująco egzamin przed czytelnikiem: powieść Morstina jest, jak zapewniają, rozchwytywana. Nic dziwnego. Bo aczkolwiek fabuła nie jest nowa, ba, jest stara jak świat — ale pociągająca przez to, że autor opisywane wydarzenia rzetelnie przeżył i przemyślał na własną rękę, wzbogacając je refleksją, subtelnemi obserwacjami znawcy życia i człowieka wszechstronnej kultury. Jedno jeszcze sprzyjało temu sukcesowi książki, to mianowicie, że osią jej jest sprawa miłosna, temat — jak wiemy — niezawodny. Fabuły „Rozgrzeszenia" streszczać tu nie będę, znana jest bowiem czytelnikom „Tygodnika", podkreślę tylko trafność spostrzeżeń autora, nader umiejętne uwypuklenia egoizmu mężczyzny, „oddanego" nauce i nie spostrzegającego życia wewnętrznego swej żony, a następnie zgorszonego niezmiernie jej rozpaczliwą reakcją.

Tyle co do strony zewnętrznej. Od wewnątrz sprawa jest bardziej skomplikowana. — Jest to symptomatyczne, że pisarz, chyba najbardziej „łaciński" ze wszystkich w Polsce dziś żyjących, cyzelator słowa, erudyta, a w ogólnym tonie raczej „zimny" — z taką pasją rzucił się ku problematyce społeczno-religijnej. Daleko musi sięgać ferment w zakresie najważniejszych zagadnień życiowych, skoro wciąga w swoje działanie ludzi zdawałoby się dobrze przed nim zabezpieczonych. — Niełatwa to rzecz określić, a tem bardziej ocenić postawę ideologiczną Morstina, którą zajął w swej ostatniej powieści. — Sprawa wartości życia w odbiciu istniejących poglądów religijno-społecznych — oto problemat autora; wyłania się stąd poszukiwanie syntezy, godzącej sprzeczne elementy psychiki ludzkiej. Częstym bardzo motywem dyskusyj między postaciami powieści jest stosunek chrześcijaństwa do życia. Autora niepokoi dwoiste wartościowanie życia w religji chrześcijańskiej, z jednej strony błogosławiącej mu, z drugiej wartościującej je ujemnie, patrzącej na życie doczesne człowieka, jako na tragiczny epizod jego upadku w drodze ku wieczności. Nowinkarstwa religijne z całą ich zamaszystością, tragizmem i mimowolną groteskowością nie znajdują i nie mogą znajdywać sympatji u pisarza tej kultury co Morstin. Pół-obłąkany Miliszewski pozostanie w literaturze jako typ charakterystyczny dla naszej epoki pośpiesznych syntez. Autorowi chodziło o wydobycie najaw ukrytych psychologicznych sprzeczności, tkwiących w dzisiejszym człowieku, o możliwie głębokie zanatomizowanie jego rozterek i niepokoju. Nie brak w powieści Morstina żadnego z reprezentantów najczęściej u nas spotykanych poglądów religijnych: znajdziemy tam kandyzowaną żmijkę-świętoszkę w postaci bratowej p. Halickiej i fanatyka nauki prof. Halickiego, nie zabraknie również sceptyków i niezdecydowańców. I na tem tle powikłań wewnętrznych, zakłamania życiowego i myślowego rozgrywa się dramat „Rozgrzeszenia". Słowa decydujące przypadły sercu. Przemówiły one już z testamentu ojca bohaterki powieści: „Jedna jest tylko mądrość, którą powinniśmy się kierować we wszystkich poczynaniach i w stosunkach z ludźmi, rządzić się nakazem serca" — a zatriumfowały w chwili wyrwania Ireny z objęć śmierci, kiedy w nagłem olśnieniu zrozumiała ta, dotąd zgorzkniała kobieta żywiołową radość istnienia, świętość życia i jego nakazów, odwieczną potęgę tej prostej rzeczy, której na imię „macierzyństwo".

Morstin rozwiązał gnębiące go zagadnienie w wymiarze uczucia. Znalazł oparcie dla człowieka, znalazł nabrzmiałe przekonaniem słowa, głoszące religję prostej ludzkiej miłości. Czy rozwiązanie to jest kompletne? Jak będzie wyglądała owa religja serca w zetknięciu z życiem, z jego złożonym mechanizmem i żelaznemi prawami? jak ustosunkuje się do religij historycznych, przedewszystkiem do chrześcijaństwa? — oto pytania, których nie sposób ani wyminąć, ani przytłumić wobec każdej syntezy religijno-etycznej, mającej zarodki żywotności.

To, że autor, tak głęboko przejęty wielkiemi problematami, nurtującemi umysłowość współczesną, nie wypowiedział swego ostatniego słowa — świadczy o jego wysokiej lojalności pisarskiej i o tem, iż przystąpił do swej pracy z całą świadomością jej wagi. Pozwala to również przypuszczać, że w następnych swych pracach osiągnie dalsze pogłębienie. — Wielkie syntezy nie powstają z dnia na dzień — powściągliwość jest tu dobrym znakiem. Rozważania religijno-psychologiczne, które wypełniają lwią część książki, ujął autor w formę dyskusyj między postaciami powieści. Gdyby Morstin mógł zdobyć się na tę cierpliwość, aby zamiast argumentami dyskursywnemi przemawiać do nas zawsze faktami i sytuacjami, bylibyśmy mu wdzięczni jako powieściopisarzowi. Któż jednak nie rozumie, jak trudno jest dziś wymagać od pisarza, aby nosił w sobie latami tematy i czekał, aż myśli i idee przerodzą się całkowicie w żywą dialektykę charakterów i postaci? Proces ten w dzisiejszem tempie życia jest uciążliwy, tem bardziej, że presja niepokoju wewnętrznego osiągnęła punkt kulminacyjny.

AKSAMIT I SZPADA

Kiedy myślę czasem nad tem, jak określić jakiś gatunek literacki, czuję rozpaczliwy bezwład większości definicyj ustalonych. Bo cóż stąd, że nazwiemy coś nowelą czy noweletą, romansem czy romanettem. Istnieje jeszcze inny podział, podział, aby tak rzec, na barwy. I jeśli mówię: aksamit i szpada, to wydaje mi się, że bliższy jestem ścisłości, niż gdybym powiedział. że nowele Józefa Relidzyńskiego („Maska z pałacu królewskiego". Warszawa, 1931. Bibljoteka Nowości. Wyd. Stanisława Cukrowskiego) są „osnute na anegdocie historycznej i przypominają swoją awanturniczą fabułą romantyczne utwory ubiegłego stulecia". — Autor nowel wpadł w swoją barwę: aksamitnie-drapieżną, łączącą elegancję z okrucieństwem, erotyzm ze zdradą i podstępem. Lektura tego typu zawsze może liczyć na powodzenie. Są to ekscytansy niezawodne. Chodzi tylko o to, żeby je przyprawiać zręczną ręką. Nie chcę przez to bynajmniej obniżać wartości tego rodzaju literatury, a to, że właśnie wziął się do niej Relidzyński, wydaje mi się właściwym krokiem ze strony autora. Ten typ literatury na Zachodzie, a i u nas zresztą rozpowszechnionej, zawiera jedno, ale znaczne niebezpieczeństwo: na pisarza czyhają sidła banalności. Opiera się jej skutecznie Relidzyński. Najłatwiej to ocenić na krótkiej a skondensowanej noweli p. t. „Noc miłosna kawalera de La Croix". Rozgrywa się scena nielada: kawaler de La Croix, ukryty za trumną swojej ukochanej markizy, której nie mógł posiąść, rzuca się uniesiony szałem miłosnym — na trupa. — Tylko tyle! Lada skrzywienie, lada przesadnie mocny akcent, lada nadużycie maniery naturalistycznej w tego rodzaju opowiadaniu może uczynić zeń coś zupełnie nieznośnego. Niebezpieczeństwa te ominął Relidzyński z dużą zręcznością, a różne posunięcia pióra w tej właśnie noweli wskazują na to, że autor jest w dobrej formie pisarskiej. Z tem większym też naciskiem zwrócić należy uwagę na pewne banalności, od których się pisarz jeszcze nie uwolnił, jak np. „rasowe nozdrza jego rozszerzyły się, jak chrapy szlachetnego konia", albo: „uzupełniali się wzajem i tworzyli obraz, godny pendzla mistrza".

NARESZCIE WYDANIE NAUKOWE!

Dawno już się należało. Bo przecież każdy wie, że Boy tylko udaje swawolnego literata, a w gruncie rzeczy, tak sobie od niechcenia, został klasykiem. Tak to się mści bronz na prześladowcy bronzowników! — Krótko mówiąc, ukazały się „Słówka" (Bibl. Polska) w wydaniu naukowem, opatrzone przedmową d-ra Tadeusza Żeleńskiego, który od Boya nauczył się kpiarstwa i nie mógł wytrzymać, aby najniesforniej parę razy nie wierzgnąć konceptem, wcale nie gorszym od boyowskiego. A co do tego komentarza, to też nie trzeba przesadzać, mówiąc o jego „humorystyczności". Leży to już w naturze Boya: żarty żartami, a na ich podłożu rozwija się poważna teza, głęboka refleksja albo — jak tutaj — zajmujący komentarz historyczny o życiu Krakowa z okresu Młodej Polski. Dla czytelników „Tygodnika Illustrowanego", pochłaniających doskonałe feljetony Boya, to nowe wydanie „Słówek" będzie niejako dopełnieniem tej lektury, bo zawierają one nietylko tak „naukowe" komentarze jak ten, który wylicza kilka synonimów najpaskudniejszej pod słońcem choroby, albo z niezmąconą powagą wyjaśnia, jak należy tłumaczyć na polski język słowo „Abort" — bądź podaje egzegezę filologiczną słowa „knot" — ale i bardzo wiele informacyj, dotyczących życia krakowskiego w znaczeniu najszerszem, bo od Szlaku aż po „Cygarfabrykę" z przed lat dwudziestu pięciu. Egzegeci Boya nie obejdą się bez tego pomnikowego wydania jego „Słówek".

MAETERLINCK i MRÓWKI

Wszyscy wiedzą, że Maurycy Maeterlinck jest nietylko znakomitym dramatopisarzem, ale również pierwszorzędnym essaystą i w swoim rodzaju — przyrodnikiem. Jego „Życie termitów" i „Życie pszczół" zdobyły sobie światowy rozgłos. Spotka ten los (u nas) zapewne i „Życie mrówek" (R. Wegner. Poznań), pełne świetnych spostrzeżeń. Naturalnie nie jest to lektura dla przyrodników ani dla tych, którzy chcą poznać przedmiot naukowo. Bo aczkolwiek autor wiele czytał z literatury przyrodniczej i sam eksperymentował, jednak ciekawy w książce jest przedewszystkiem stosunek poety do przyrody, a tym razem do mrówki, o której nieśmiertelność się troszczy i którą umieszcza w hierarchji bytu z powagą cechującą albo ludzi naiwnych, albo mędrców, nie obawiających się mówić poważnie — o wszystkiem. Adam i Marja Czartkowscy dokonali dobrego przekładu. *J. E. Skiwski*

DZIEŁA PRUSA NIE SĄ WYCZERPANE

Od czasu do czasu powtarzają się głosy, domagające się ponownego wydania wyczerpanych w handlu księgarskim dzieł Bolesława Prusa. Zainteresowanie dla twórczości wielkiego pisarza wzrasta, bliski jest, jak się zdaje, renesans jego znaczenia i jego dobroczynnego wpływu. Jest więc rzeczą chwalebną, że chcemy być przygotowani na tę ważną chwilę życia kulturalnego i chcemy zaraz móc czytać Prusa nanowo. Jest to trudna sprawa — tłumaczy na łamach „Tęczy" (Nr. 14) p. Tad. Kraszewski: „niejedna bibljoteka dobija się o dzieła Prusa; niestety! w handlu księgarskim wyczerpane, a na nowy nakład niema wydawcy".

Otóż — nie jest tak źle. W każdej księgarni są (wzgl. powinny być) takie utwory Prusa, jak: „Lalka", „Faraon", „Emancypantki", „Anielka", „Placówka"; nowele czytać można w taniej i popularnej kolekcji „Bibljoteka Uniw. Ludowych" (wszystko nakł. Gebethnera i Wolffa). Najważniejsze więc pisma Prusa nie są wyczerpane i bibljoteki nie muszą się o nie dobijać. Wystarczy, jeżeli ich zażądają z najbliższej księgarni lub od wydawców. Prawda — niema w tej chwili zbiorowego wydania pism Prusa i nie ogłoszono w książce jego pamiętnych „Kronik Tygodniowych". O ile nam jednak wiadomo, wydanie zbiorowe zacznie się ukazywać jesienią — a tymczasem Prus jest dostępny dla wszystkich, czerpać z jego wielkiego dorobku można obficie.

Peleryny. Rys. St. Rzecki („Liberum veto")

BOY-ŻELEŃSKI

WIATR NAD KRAKOWEM

Malując w poprzednich artykułach [1]) dawny „pański" Kraków, mimowoli zaraziłem się od niego skłonnością do gawędy; ale dziś trzeba mi być zwięzłym i suchym: zaledwie ram tego felietonu starczy, aby nakreślić „tablicę synchronistyczną" wypadków, jakie, w ciągu kilku lat, zaszły w tem cichem mieście. A rzecz zasługuje na utrwalenie, nigdy bowiem w tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni nie dokonała się większa przemiana. I nie bez ścisłości wziąłem datę ślubu Henryka Sienkiewicza jako symboliczny znak zbliżającej się odnowy; właśnie ten rok 1893 miał się stać jej początkiem.

Datę można ustalić z całą ścisłością, gdyż jest to data otwarcia nowego teatru, którego dzierżawę obejmuje Tadeusz Pawlikowski. Wobec powszechnej u nas skłonności do zmieniania ludzi w bezcielesne mity, warto może przypomnieć, że, kiedy Pawlikowski obejmował teatr, miał lat dwadzieścia dziewięć. Mając przy organizowaniu nowej sceny wolną rękę, nie mając zaś za sobą autorytetu ani zasług, młody ten człowiek wolał, ufając (i słusznie, jak się okazało) swemu instynktowi, oprzeć się na zespole przez siebie stworzonym, niż na szanownych rekwizytach personelu. Teatr Pawlikowskiego jest więc przedewszystkiem — teatrem młodych. Jaki był ten zespół, uprzytomniło mi się, kiedy niedawno, przeglądając stare czasopismo, znalazłem obsadę jakiejś błahej sztuczki; grali w niej, między innymi: Solska (Pomian), Siemaszkowa, Przybyłkówna, Siemaszko, Solski, Roman, Kamiński, Śliwicki...

Nie jest moim zamiarem pisać tu monografję teatru Pawlikowskiego, ale też warto przypomnieć, czem dla ówczesnego Krakowa po jałowiźnie dożywającej swych dni „budy" Gliksona, musiał być teatr, w którym przedefilowali Ibsen, Bjornson, Strindberg, Hauptman, Curel, Courteline, Portoriche, Oskar Wilde, Ostrowski, Czechow, Gorkij, Maeterlink etc... etc... Teatr Pawlikowskiego miał charakter teatru *awangardy*; — dla całej Polski wówczas; otóż czy nie musiało być oryginalnem zjawiskiem małe i senne miasteczko, w którym jedyny istniejący teatr był sceną literacką, prowadzoną przez notorycznego *modernistę* i „dekadenta"? Co Antoine w Paryżu grywał w swoim *„Théatre libre"* pokątnie, to w Krakowie szło jako oficjalny repertuar. A zważmy, że w mieście nie było konkurencji, nie było operetki, nie było wówczas kina; kto zatem miał w ręku teatr, ten mógł uprawiać pewnego rodzaju terror; mówił niejako do publiczności: „Nie chcesz tego co ci daję? To siedź w domu". Miało to wielkie znaczenie wychowawcze dla publiczności; zwłaszcza przy częstości premier. A czemże dopiero był taki teatr dla młodych, jakiż ożywczy zastrzyk raz po razu: w mieście, gdzie życie realne było tak straszliwie ubogie, jedynemi realnościami stawali się Ibsen czy Curel, nowa rola Kamińskiego urastającego w oczach. Teatr opędzał trzy czwarte rozmów, był jedynem zdarzeniem wolnem od piętna śmieszności, europejskiem. Dodajmy, iż sam Pawlikowski swą tajemniczą *perwersyjnością*, legendą swego majątku, swą cyganerją w wielkim stylu, swojem upartem drażnieniem krakowskiej cnotki, działał silnie na fantazję miasta, w samym zaś teatrze stwarzał atmosferę podniecającą, sprzyjającą rozkwitowi talentów.

Prawie równocześnie — ważne przemiany w życiu malarskiem. Umiera Matejko. Matejko był genjalnym malarzem, ale szkoła jego, w ostatnich latach zwłaszcza, była martwa. Już wiały ze świata nowe prądy, szły nowe hasła, światło, kolor, plama, *plein-air*, impresjonizm; nie przenikały tylko do gmachu, gdzie władał Matejko, sam jeden, wielki, w otoczeniu miernych nauczycieli. Najpowolniejsi uczniowie w zaduchu pracowni podlewali brudnym sosem swoje zimne wypracowania figuralne. Co było wielkie u Mistrza, stawało się okropne u jego epigonów. Najżywszy z młodych, Włodzio Tetmajer, zmuszony niemal kryć się z tem co maluje, drapnął do Bronowic. Skoro umarł Matejko, po krótkim okresie przejściowym (Łuszczkiewicz, Rodakowski), powierzono Fałatowi reorganizację szkoły. Fałat ściąga z kraju czy z zagranicy tęgich malarzy a młodych jeszcze ludzi; nowe ciało profesorskie, to Wyczółkowski, Malczewski, Pankiewicz, Axentowicz, Laszczka, Stanisławski, później Ruszczyc... Zmienia się zupełnie fizjognomja, duch szkoły. Zapachniało Paryżem. Przedtem szacunek dla Mistrza trzymał uczniów w milczącem oddaleniu; teraz młodzi profesorowie, kontenci że się znaleźli razem, kontenci z warsztatu pracy, są w pysznych humorach, figlują, karykaturują się wzajem, tak jak ich znowuż karykaturują uczniowie, traktowani przez nich jak młodsi koledzy. Na którymś ze swoich obrazów, Wyczółkowski wymalował Jacka Malczewskiego nago, z kosmatemi nogami fauna, nagabywanego przy pracy przez nimfy czy dziewczęta. W istocie, w porównaniu z ascezą Matejki, to był renesans po średniowieczu! Szkoła wre pracą, ale rozbrzmiewa wesołym śmiechem. A kiedy rychło potem powstaje stowarzyszenie *Sztuka*, przeprowadzające tak potrzebną wówczas selekcję artystyczną, dzięki której zyskuje pierwszorzędne sukcesy w stolicach europejskich, raz po raz profesorowie któregoś ze swych uczniów wyzwalają na majstra, pasując go na członka *Sztuki*. Zadziwiający jest urodzaj na talenty malarskie w ówczesnym Krakowie. Młodość!

Sokół. Rys. W. Jarocki („Liberum veto")

Oto już drugie, obok teatru, centrum, które czyniło Kraków przodującem miastem w Polsce. Dodajmy, że już nieco wcześniej, około r. 1894, urządza pierwszą swoją wystawę Wyspiański, który w ciągu dziesięciu lat odnawia wszystko czego się tknął, malarstwo, literaturę, teatr, sztukę dekoracyjną, typografję, mieszkania i przedewszystkiem— dusze.

Interesujący jest związek, jaki istnieje między rzeczami materjalnemi, technicznemi, a życiem duchowem. Jakże doniosłe miał naprzykład znaczenie *pastel*, użyty przez Wyspiańskiego. Olejny obraz — taki jak je wówczas malowano, masywny — był dostępny jedynie magnatom. Robota portretu trwała całe tygodnie. Któż mógł bodaj zamarzyć o portrecie Matejki! Wyspiański, który miał w głowie tysiące prac i pomysłów, a nie zawsze miał na farby, machał pastel w godzinę lub dwie: w proporcji do czasu i materjału i cena była o ileż niższa; to „potanienie geniuszu" miało nieobliczalne następstwa dla kultury artystycznej miasta. Uprościł nawet ramy, — oprawiając swoje obrazy w zwykłą, nie malowaną nawet listwę drewnianą, gdy dawniej lada bohomaz wymagał kosztownych ram złoconych. Dzięki tej prostej zmianie techniki, arcydzieło Wyspiańskiego było dziesięć razy tańsze niż „kobyła" jakiegoś Krzesza, którego samo płótno, farby i rama kosztowały wiecej, niż Wyspiański żądał za cały obraz. To miało decydujący wpływ na wniknięcie malarstwa w nowe mieszczańskie społeczeństwo, dopuszczając je do zażyłości ze sztuką. Pasja do obrazów, zwłaszcza wśród lekarzy krakowskich, rozwija się w ciągu kilku lat zadziwiająco, przeobrażają się ściany mieszkań. Bardzo ciekawe było patrzeć na tę „infekcję" sztuką, w której niemałą rolę gra osobiste zetknięcie się z artystami, nietrudne w miniaturowym Krakowie, gdzie wszyscy prawie sie znali.

Literatura. Ale trzeba się streszczać. Zatem w r. 1894 wyszła w Krakowie pamiętna *„druga serja"* (tak wówczas skromnie tytułowano tomiki poezyj) Kazimierza Tetmajera. W tym samym mniej więcej czasie drukuje w krakowskim *Świecie* Miriam swój przekład *Statku pijanego* Rimbauda, dając tem przedsmak przyszłej *Chimery*. W r. 1897 zakłada Ludwik Szczepański *Życie*, (pierwsze harce Nowaczyńskiego, A. Górski, Miciński, Perzyński, Kisielewski etc.), w którem współdziała przybyła z Paryża Gabrjela Zapolska. Zarazem Zapolska jest aktorką w teatrze Pawlikowskiego i wystawia pierwsze swoje sztuki: *Żabusia, Kaśka Karjatyda, Tamten*. W roku 1898 spada na Kraków Przybyszewski; w tymże roku teatr wystawia jego sztukę *Dla szczęścia*; w roku 1899 *Warszawiankę* Wyspiańskiego. Powstaje *„Paon"*, braterska orgia literatury, teatru, malarstwa, muzyki. (Przybyszewski miał wówczas lat trzydzieści; krakowska jego gromadka

[1]) Por. „Tyg. Illustr." N-ry: 9, 10, 11, 12, 13 i 14.

liczy mało co ponad dwadzieścia; i tu — młodość). Feliks Jasieński zjeżdża ze swojem wędrownem muzeum i całą japońszczyzną.

Wreszcie — w roku 1901 — *Wesele*, już w teatrze Kotarbińskiego. Doprawdy, w ciągu tych ośmiu lat, Kraków dużo przeżył. To równocześnie spotkanie się tylu niezwykłych indywidualności, współżycie ich, współdziałanie, inspirowanie się wzajemne, wytworzyło atmosferę tak przesyconą ozonem, jak z pewnością mało gdzie i kiedy. Było to tem osobliwsze, że działo się w małem miasteczku, którem zewnętrznie Kraków być nie przestał. Mały Kraków urósł przez sztukę, o wiele wprzód zanim ambitna energja prezydenta Leo przeobraziła go administracyjnie w *Wielki Kraków*. To do niedawna miasto starców staje się miastem młodych. Nawet jego biedę zdołała na chwilę oszukać sztuka. Młoda cyganerja z dumą przywdziewa uniform artysty, parysko-zakopiańską pelerynę, która ma tę zalete, że, wraz z młodopolskim krawatem, pokrywa niedomagania ubrań i bielizny. Życie przenosi się z salonów do knajpy, a jeżeli zawadzi o salon, to o bawialnię jakiego lekarza czy profesora. Sztuka staje się nobilitacją mieszczaństwa.

A dawny „pański" Kraków patrzał na to wszystko, coraz bardziej odosobniony, i nie rozumiał nic. Dopiero młodsi hrabiowie, Morstin, Rostworowski — przejdą pod znak Wyspiańskiego. Kiedy młody Morstin po wystawieniu *Legionu* miał odczyt o tej sztuce, Tarnowski był bardzo z tego niezadowolony; aby go udobruchać, spiknięto go gdzieś w towarzystwie z Morstinem. Nie bardzo się to powiodło. „Czterdzieści lat uczę co jest piękne a co brzydkie, a te osły latają na *Legjon*, burknął hrabia-profesor. — A cóż Excelencja powie o mnie, który miałem odczyt o *Legionie?* — podjął Morstin rękawicę (jeżeli to można nazwać rękawicą). — Kto osłów uczy, o tym nie powiem kim jest", odrzekł Tarnowski. Taka była rozmowa hrabiów, którą powtarzał mi Morstin, a która dowodzi, jak bardzo staremu hetmanowi ta dezercja zapadła w serce.

Odwiedziny — *Leon Wyczółkowski*

Bądź co bądź, fala młodości, która ogarnęła Kraków, dała się odczuć i w tym obozie, ale w dość zabawny sposób. Było to w początkach dyrekcji Pawlikowskiego: owo sławne przedstawienie *Lysistraty*, od którego długo trzęsło się miasto. W owym czasie wystawiono w Paryżu ten utwór Arystofanesa, przyprawiony bulwarowo przez Maurycego Donnay. Skusiło to dawnego dyrektora, jeszcze sercem bliskiego teatrowi, Koźmiana, który ujrzał w tem rolę dla wybornej ale starzejącej się aktorki Hoffmanowej; sam przetłumaczył tę arystofanesowo-donneyową *Lizystratę* i ofiarował się z inscenizacją. Już z prób zaczęły iść na Kraków wieści, że czegoś podobnie nieprzyzwoitego świat i korona polska nie widziała. Tecia Trapszówna, która miała grać Myrrynę, zalewała się rzewnemi łzami, że jej każą występować nago: „nago" wówczas, to znaczyło w cielistych trykotach po szyję i w płaszczu, który miała rozchylić na jeden moment. Ale w istocie przedstawienie było bardzo nieprzyzwoite: podkreślono, z sarmacką jurnością, słowem i gestem, drażliwe momenty; wszystko razem trąciło pornografją. Jako poetycką wstawkę wszyto *Narodziny Afrodyty* Tetmajera, połączone z tekstem zapomocą operetkowego: „Opowiedz, jak to było? — Posłuchajcie". I do tego bigosu, znakomity hellenista, prof. Kazimierz Morawski, któremu widać w owym czasie dopiekła rzekoma pruderja którejś z krakowskich dam, napisał prolog, na dzisiejsze pojęcia arcy-niewinny, ale na ówczesne stańczykowskie maniery nieprawdopodobnie... wyuzdany! Mówił w tym prologu do publiczności, iż może ją dziwi,

że greckie panie i greckie panienki
rzecz nazywają właściwem imieniem,
może się serce wasze przy tem wzdryga:
wiecie jak cenną krzewiną jest figa,
i jak jest miło skryć się pod jej cieniem.
...Perykles czułby się w tym grodzie struty,
Próżnoby szukał uroczej Aspazji,
W mieście gdzie więcej niż grzechów — pokuty,
I może rzecz tę biorąc nazbyt serjo,
Aspazję zmieniłby w skromną Egerją...

(Oj, ta Aspazja! czuję tu perfumy pięknej pani Z. *Vide* poprzedni felieton).

Po tej *Lizystracie* w mieście zawrzało. Liberały, widząc sposobność ugodzenia znienawidzonych stańczyków w najczulszy punkt: moralności, owej moralności, której stańczykom wciąż było za mało u drugich, rozdarli szaty z oburzeniem; satyryczne pismo *Djabeł* ogłaszało imienną listę szanownych osób, które były na *Lizystracie*. Ksiądz jakiś, nie zorjentowany w wyższej polityce, wystąpił z ambony przeciw sztuce: Tarnowski wezwał księdza i zwymyślał go; nie księdzu sądzić biskupa, a wedle krakowskiej hierarchji stańczykowskiej, Koźmian i Morawski mieli rangę co najmniej biskupów.

Jedną jeszcze pamiętam zabawną historję o tem, jak pałac próbował uczepić się nowego życia. Było to już później, kiedy, dzięki agitacji Warchałowskiego, Kraków wstąpił pod znak „Sztuki stosowanej", a znowuż dzięki apostolstwu Witkiewicza zakopiańszczyzna wciskała się wszędzie. Jednego dnia, zjawia się w siedzibie Warchałowskiego słynna hrabina X. Chciałaby (powiada) ufundować konkurs: konkurs na ornat.— Bardzo pięknie, jakąż nagrodę przeznacza pani hrabina? — Jedną gwineę. (Zdumienie na twarzy Warchałowskiego). ...Jedną gwineę; ja słyszałam, że zwykle na takich konkursach nagroda jest jedna gwinea. Tylko jeden warunek: żeby nic nie było z portek. (Znów na twarzy Warchałowskiego odbiło się zdumienie) ...No, z portek (tutaj gest palcem w powietrzu, z którego interlokutor zaczyna się domyślać o co chodzi). — Pani hrabina myśli o *parzenicy?* — *Vous applez ça* parzenica? Bo ja to nazywam portki"...

Dobra hrabina była przekonana, że „portki" to jest wyszywanie na spodniach góralskich!

Czy możnaby znaleźć coś, coby lepiej oddało psychikę tej kasty niż ta gwinea, ten ornat i te portki? Kombinacja sknerstwa, bigoterji, snobizmu i jakiejś — aby tak rzec — eksterytorjalności tych krajowych cudzoziemców, którzy nawet języka swego kraju nie znają! Bo skoro żona prezesa Akademji umiejętności nie wie co znaczą po polsku „portki", czegoż żądać od innych!

Ale już zbliżał się *dzień zapłaty:* „Nie takie głowy jak twoja, Ekscelencjo, spadały!"

Sosnowski i Ordon-Sosnowska w „Bolesławie Śmiałym". (Rys. K. Sichulski w „Tece Melpomeny")

Wiatr nad Krakowem. (Rys. I. Gall w „Abderze")

grzmiał w wiedeńskim parlamencie Daszyński do Wojciecha Dzieduszyckiego, starego kawalarza, który bawił się tem, że na ceremonjalne zaproszenia opatrzone u dołu literami O. o. u. s. (o odpowiedź uprasza się) odpowiadał również pierwszemi literami: *Dziękuję uprzejmie, przybędę akuratnie.* (Potem się to już spospolitowało, ale on miał tę ideę pierwszy).

Daszyński! To też był współczynnik przemiany Krakowa. Cały Kraków pędził jak do teatru na jego pierwsze porywające mowy w ujeżdżalni. Daszyński, wówczas w pełni młodości, to był — niezależnie od przekonań słuchaczy — największy, obok Kazimierza Kamińskiego, sukces artystyczny. Ale sam socjalizm, w pierwszym wówczas swoim bohaterskim okresie, pociągał młodzież; skupiał siły wprzód nie mające zużycia, wabił chłopców, dziewczęta. Bo wśród tego i uniwersytet dostał zastrzyk hormo-

sperminy. Po długich walkach, dopuszczono kobiety do studjów, na razie na medycynę. Miało to dla fizjognomji Krakowa znaczenie: nietylko krakowianki wyroiły się na ulicy Kopernika, ale i większość emancypantek z za kordonu, które dotąd musiały jeździć do Zurychu lub do Paryża. Równocześnie chroni się na krakowski Uniwersytet raz po raz garść wydalonych za jakieś przewiny studentów warszawskich. Odcinają się na ulicy swemi rosyjskiemi czapkami, niedbałemi brodami, w laboratorjach swą pracowitością i swą hardością, tak niepodobną do potulności tubylców, wychowanych w szacunku dla „władzy". Przynoszą z sobą jakiś powiew tragiczny, raz po raz bucha tajemnicza historja, jakiś trup znaleziony na błoniach — samobójstwo czy samosąd? Słowem, gdzie tylko spojrzeć, przemiany. Ostry wiatr powiał na Kraków.

DO OBYWATELI KRAJU I STOLICY

(W SPRAWIE TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO)

Jedną z najdroższych pamiątek Stolicy Polski jest *Pałac Staszica,* dawna siedziba zasłużonego w dziejach *Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk.*

Pałac ten zaraz w ciągu pierwszych lat jego istnienia napełniły cenne zbiory naukowe i zabytki kultury polskiej — dary społeczeństwa, świadczące, że mu rozwój Towarzystwa Przyjaciół Nauk leży na sercu, że chce temu Towarzystwu przydać blasku, żeby się móc niem chlubić.

Odradzające się w Wolnej Polsce *Towarzystwo Naukowe Warszawskie* — naturalny dziedzic tamtego starego Towarzystwa — otrzymało jego spuściznę w stanie najopłakańszego spustoszenia. Nawet sam Pałac Staszica w ruinie i oszpeceniu straszliwem bizantyńskiej przeróbki moskiewskiej.

W niesłychanie trudnych warunkach, wśród kryzysów ekonomicznych państwa i społeczeństwa, przyszło Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu odbudować dziedzictwo. Niezrażone wszakże żadną trudnością, podjęło się tego dzieła i oto w ciągu sześciu lat zdołało zdobyć i wydać na ten cel już około 1.400.000 złotych. Przywrócony już został gmachowi pierwotny wygląd zewnętrzny. Kosztowna przebudowa frontowej, reprezentacyjnej części gmachu jest już niemal gotowa. Dobiegają końca roboty w Kolumnowej sali posiedzeń; niewiele również brakuje, aby odbudowany został wielki lokal, mający pomieścić największy dziś w Polsce zbiór zabytków przedhistorycznych — Muzeum Archeologiczne im. Erazma Majewskiego. Wreszcie odnawiane są lokale dla Zarządu Towarzystwa, Wydziałów, Komisyj i biur.

Pozostaje jeszcze tylko ostatni wysiłek — urządzenie odbudowanego Pałacu wewnętrzne. Niestety fundusze Towarzystwa są już wyczerpane. Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zwrócić się do społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza mieszkańców Warszawy, z apelem, ażeby zechcieli przyczynić się ofiarnie do ukończenia w jak najkrótszym czasie wielkiego dzieła i stworzenia w ten sposób godnej siedziby dla reprezentacji nauki polskiej w stolicy Państwa.

Niżej podpisani popierają jak najgoręcej ten apel, wzywając usilnie mieszkańców stolicy i cały polski ogół:

Pomóżmy Towarzystwu Naukowemu Warszawskiemu w jego trudnej pracy nad przywróceniem Pałacowi Staszica jego dawnego charakteru, świetności i znaczenia.

W ostatnich czasach napłynęły liczne ofiary i fundacje na rzecz Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, Małopolska Wschodnia znacznie zasiliła Towarzystwo Naukowe we Lwowie, Wielkopolska i Pomorze wydatnie wspomogły Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Wierzymy więc, że społeczeństwo zwłaszcza Polski środkowej i Kresów nie uchyli się również od obowiązku otoczenia opieką Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, które, jako akademicka instytucja stołeczna, zasługuje na poparcie nie mniejsze.

Ofiary składać należy na konto Towarzystwa Naukowego Warszawskiego w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 603.

Arkusze z nazwiskami ofiarodawców ku wiecznej rzeczy pamięci zawieszone zostaną w salach Pałacu.

Podpisali:

Marszałek Sejmu Rzplitej Polskiej *Świtalski*
Marsz. Senatu Rzplitej Pol. *Wł. Raczkiewicz*
Prezydent miasta st. Warszawy *Z. Słomiński*
Prezes Rady m. st. Warszawy *R. Jaworowski*
Rektor Uniwersytetu Warsz. *M. Michałowicz*
Rektor Politechniki Warszawskiej *Pszenicki*
Rektor Wyższej Szkoły Handl. *A. Sujkowski*
Rektor Szkoły Gł. Gosp. Wiejsk. *Biedrzycki*
Rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej *Vieveger*

JAKIE FILMY WYŚWIETLA SIĘ W JAPONJI

O kwitnących wiśniach i chryzantemach w kraju wschodzącego słońca sława rozniosła się po całym świecie, podczas gdy o rozkwicie sztuki kinematograficznej tego kraju mało kto wie w Europie. Z nielicznych zabłąkanych tam filmów trudno jest mieć nawet bardzo powierzchowne wyobrażenie o produkcji filmowej japońskiej, jednej z największych produkcyj światowych. Jest ona nietylko w Europie dziedziną nieznaną, ale nawet europejczycy, mieszkający stale w Japonji, niewiel o niej wiedzą. Przyczyna zapewne leży w tem, że filmy wyświetlane są jedynie w kinoteatrach obliczonych na publiczność japońską; napisy i objaśnienia podawane są wyłącznie w języku japońskim. Ponieważ zaś ilość europejczyków, mogących w przelocie czytać napisy w języku japońskim jest nieznaczna, kończy się na tem, że popierają oni tylko amerykańskie filmy dźwiękowe.

Japońska produkcja filmowa dzieli się na dwa odrębne działy, a mianowicie: na filmy ilustrujące współczesne warunki życia w Japonji oraz filmy osnute na tle historycznem epoki Yedo (dawna nazwa Tokjo). Epoka Yedo (1603 r.—1868 r.) zwana też epoką Tokugawy, obejmuje okres czasu, zaczynający się od przeniesienia centrum władzy wojskowej przez szoguna Iyeyasu Tokugawe do Yedo i ciągnie się do restauracji władzy cesarskiej, t. j. do epoki zwanej Meidżi.

Nazwa filmów historycznych *kengeki* (od słowa *ken* = szabla, miecz i *geki* = przedstawienie) wskazuje na to, iż, opiewają one wyłącznie zalety rycerskie. W epoce tej nietylko rycerze byli uzbrojeni, lecz nawet mieszczanie, z tą różnicą, że samurajowie nosili dwie szable, podczas gdy inni nosili jedną. Do ulubionych postaci *kengeki* należą „roppo" zwani też „kyokaku", obrońcy ludzi gnębionych przez samowładne osoby szogunatu. Nietylko mężczyźni japońskiej epoki feudalnej byli biegli w sztuce Marsa, lecz także i kobiety.

Filmy historyczne, bogate w romantyczne sytuacje, stanowią bardzo cenne źródło studjów obyczajowych danej epoki, począwszy od mieszkania, urządzenia domu, a skończywszy na arcyfantastycznych strojach i uczesaniach. Ileż ciekawych szczegółów nasuwa się dla obserwacji cudzoziemskiego widza! Odsłania się świat pojęć zbudowanych na odmiennych podstawach. Doprowadzone do punktu kulminacyjnego pojęcie wierności i bezwzględnego posłuszeństwa wasala wobec swego pana jest osią, dokoła której obraca się akcja większości *kengeki.*

Kengeki, zwane też *ciambara,* są naogół przez Japończyków wyżej cenione, niż filmy współczesne. Chętniej patrzą oni na bohaterów z dwiema szablami za pasem, odzianych w *monstki,* ubranie czarne z herbami, z głową do połowy wygoloną w tak zwaną sakayaki, niż na współczesnego lowelasa w meloniku. Żaden z najzdolniejszych artystów filmów współczesnych nie jest witany z takim entuzjazmem, jak Kataoka Cziezu, odtwórca głównych ról ciambary. Talent tego artysty jest nieuchwytny w przeciwieństwie do większej ilości aktorów japońskich, z których każdy przedstawia typ skrystalizowany. Jest on niezrównany w scenach, tryskających humorem,

Nowowschodząca gwiazda wytwórni „Nitkats", Hamagueri Fudriko

jak i w sytuacjach o wysokiem napięciu dramatycznem. Poza pracą nad wyrazistością mimiki, każdy artysta ciambary musi ćwiczyć się w fechtunku, czyli, jak dzieci japońskie mówią, musi być biegłym w „ciań-ciań barabara. Na załączonem zdjęciu widzimy Kataokę Cziezu w roli pięknego i samowładnego kasztelana Tadanao, bohatera z powieści współczesnego pisarza Kikuczikana. Oryginalne uczesanie jest to *czasengami*, popularnie zwane *ciommage*.

Aczkolwiek jedne i te same wytwórnie produkują zarówno filmy współczesne, jak i *kengeki*, to jednak nigdy artyści nie grają w obydwuch — każda z tych kategoryj ma swój własny zastęp aktorów.

Bezsprzecznie najlepsze filmy pochodzącą z wytwórni Nikkats, szczególnie filmy osnute na tle życia współczesnego. Po niej wymienić trzeba wytwórnie Szocziku Toa i t. d. Każda z tych wytwórni wydaje własny miesięcznik.

Z filmów współczesnych cieszył się niezmiernem powodzeniem „Kondżiki Yasia" t. j. „Demon Złota". Sztuka ta przedstawia dramat życiowy, rozgrywający się na plaży morskiej w Atami. Widzimy w nim obrazy wulkanicznych gór Hakone i zaśnieżone krajobrazy północne z Hokaido.

Niemniejszem powodzeniem cieszył się film „Kono Taiyo" t. j. „To słońce", który zapewne wzbudziłby zainteresowanie i u europejskich kinomanów. Występują w nim trzy najzdolniejsze artystki „Nikkatsu": Irie Takako, dystyngowana w każdym ruchu, o grze subtejnej, a mimo to wyrazistej; po niej idzie wdzięczna i naiwna z dziecięcym wyrazem twarzy, Natsukawa Szizue i wreszcie piękna Mineginko, typ „wampirzycy". Nie należy

Najlepszy artysta wytwórni „Szocziku", Utaemon

również pominąć bohatera tej sztuki, Kosugi Isamu, który z wielkim talentem odtwarza rolę dziwaka-uczonego.

Wzruszający jest dramat p. t. „Akatski no uta" t. j. „Pieśń Zorzy", wyświetlany ostatnio w kinie wytwórni Nikkats, w japońskiej dzielnicy Tokjo, na Dżubanie przy ulicy lampjonów. Jest to prawdziwy hymn poświęcenia, grany przez Natsukawę Szizue i nieprzeciętnej urody artystę Minobe Susumu. W czasie najdramatyczniejszych momentów miałam sposobność przekonać się, jak nieprawdziwe jest, w Europie szeroko rozpowszechnione mniemanie, o niczem nie wzruszających się Japończykach...

Filmy japońskie zasługują również na uwagę z tego względu, że są starannie, z głęboką znajomością środowiska reżyserowane, w przeciwieństwie do filmów egzotycznych, wychodzących z zachodnich lub amerykańskich wytwórni. Utrudnienie w wejściu ich na rynki Europy może stanowić fakt, iż obecnie światem zawładnęły dźwiękowce, które Japonja produkuje w bardzo małej ilości. W każdym jednak wypadku ukazanie się filmów japońskich na ekranach europejskich byłoby zapewne z radością powitane, jako rzecz nowa i nieznana. Produkcja filmowa,

Tokujawa Yosziko, odtwórczyni typów wojowniczych niewiast

poza wymianami i sprzedażą zagraniczną, stosunkowo nieznaczną, pokrywa zapotrzebowanie rynku wewnętrznego. Rynek ten jest dość pojemny, gdyż kino stanowi jedną z podstawowych rozrywek klas średnich i niższych. Seans trwa około 4-ch godzin i składa się z trzech przynajmniej sztuk. Poza filmami, o których wyżej była mowa, japońskie wytwórnie produkują filmy krajoznawcze, któremi przedewszystkiem powinny zainteresować się kinoteatry europejskie.

Tokjo. *Wanda Wyczółkowska*

Kataoka Cziezu w roli kasztelana Tadanao

Piękna aktorka filmowa Mineginko

ZYGMUNT NOWAKOWSKI 15)

PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI

I Kasia w spokoju prasowała, a my rozpoczynaliśmy taniec wojenny. Ale nie zawsze. To zależało. Np. od czasu, gdy rozbiła się lampa podczas tańca Czerwonych Skór, trzeba było wstrzymać się z tą ceremonją, aż do dnia, kiedy przyszła nowa lampa. I ta jakoś uchowała się bardzo długo, pomimo, że jej nikt nie lubił w domu. Rzeczywiście była bardzo niesympatyczna. Mama nawet, która o żadnej lampie nie pozwoliła nigdy mówić inaczej, jak tylko, że „filuje", przecież o tej nowej mówiła, że „kopci". Bo zresztą naprawdę kopciła. Poza tem wszyscy utrzymywali, że może się bardzo łatwo przewrócić i że trzeba na nią ogromnie uważać, bo jest wysoka a ma wąską podstawę. Ale to już było niesprawiedliwe, bo właśnie że ta lampa jakoś mimo wszystko nie przewróciła się nigdy. Dopiero znacznie później, ale to już przy zupełnie innej okazji.

Więc po tańcu, każdy z nas zaczerpnąwszy trochę „wody ognistej", rzucał się do boju z okrzykiem „Niech żyje Kentucky". Niezawsze kończyło się krwawo, ale bywało rozmaicie. Raz nawet Bolek rozciął porządnie głowę Jankowi. Zdaje mi się, że nienaumyślnie. Ale właśnie w tym momencie przyszła do mamy jedna pani z wizytą. Jakaś pani Kozłowska. Mamy nie było w domu, a Jankowi naprawdę lała się krew z głowy. Niedużo tego było ale zawsze... Więc pani Kozłowska narobiła strasznego krzyku, jakby nie wiem co się stało! I natychmiast kazała Kasi przynieść chleba i pajęczyn z kuchni. Na tę ranę w głowie Janka. Ale koniecznie dużo pajęczyn! Kasia zaczęła jej tłómaczyć, że nie wie, skąd wziąć tych pajęczyn, bo u nas zupełnie niema. A pani Kozłowska, że to nieprawda, tylko Kasi się nie chce poszukać. I że dzisiaj wogóle wszystkie sługi są do niczego... A Kasię powinno się napędzić odrazu, bez wypowiedzenia, bo z pierwszego słowa zaraz widać, co to za numer!... Wogóle pani Kozłowska bardzo się dziwi mamie, że coś podobnego mogła w domu tak długo tolerować...

Więc Kasia odpowiedziała ostro i wyszła, trzaskając drzwiami, aż wyleciał klucz z zamku, a my rozpoczęliśmy taniec wojenny. Ale tylko w miejscu, dookoła pani Kozłowskiej. Dopiero teraz obejrzała nas dokładnie i zobaczyła przez lorgnon pióra strusie na głowie, twarze pomalowane na czarno i czerwono, oraz olbrzymie kółka w uszach. Najbardziej jednak przeraziły ją te głębokie nacięcia na odsłoniętej piersi, które tylko mężny i wsławiony zwycięstwami wódz ma prawo nosić. A że tego dnia było wcale ciepło, więc nacięcia mieliśmy na gołem ciele. Pani Kozłowska przestraszyła się okropnie i spytała, czy to także jest krew na odsłoniętej piersi. Potwierdziliśmy chórem i pani Kozłowska zemdlała.

Krzyknęła tylko „Jezusie Nazareński!" — i buch na kanapę. Więc niedługo potem przerwaliśmy taniec wojenny i Bolek wylał na panią Kozłowską trochę wody. Ale woda poszła przeważnie na kapelusz i nic nie pomogła. Wobec tego zawołaliśmy Kasię, która wróciła ze strychu z całą masą pajęczyn. I Kasia zabrała się do trzeźwienia, a pani Kozłowska krzyczała tylko ciągle, że Kasia to źle robi i wogóle niema pojęcia, jak kogoś należy cucić.

My tymczasem w drugim pokoju szybko umyliśmy twarze, nacięcia na piersi odsłoniętej, pochowali pióra i kolczyki. Na szczęście z tego wszystkiego Jankowi przestała się lać krew, ale dla niepoznaki ja ubrałem się w jego bluzkę. Na wszelki wypadek.

Zaraz potem przyszła mama do domu a pani Kozłowska do siebie. Opowiedziała mamie o całej historji, o ranie Janka, o piórach, o tańcu i wogóle wszystko. Głównie o tych głębokich nacięciach. Mama przeraziła się okropnie i wtedy weszliśmy do pokoju. Więc pani Kozłowska wzięła mnie za rękę i pokazała mamie ranę, której wcale nie było. Oglądała mi głowę ze wszystkich stron i dziwiła się bardzo, mówiąc: „Przecież przed chwileczką na własne oczy"... A jeszcze bardziej zdumiało ją to, że nie mieliśmy ani śladu nacięcia na piersiach. Pytała, jak to mogło się stać, ale my nie rozumieliśmy ani słowa... Patrzyliśmy się tylko jeden na drugiego, a pani Kozłowska powtarzała: „To niemożliwe, to niemożliwe!".

Mama nie mogła także pojąć tego wszystkiego, spytała więc Kasi, jak to było. A Kasia powiada, że nic nie wie. I że wszyscy trzej panicze byli bardzo grzeczni... Naturalnie, Kasia powiedziała tak tylko, na złość tej pani, bo czasem wydawała nas przed mamą.

Pani Kozłowska przeżegnała się i zaczęła kręcić głową na wszystkie strony. Mama znowu była jakby zakłopotana, patrzyła dziwnie na panią Kozłowską i powiedziała tylko: „Może się pani zdawało?... „Na to pani Kozłowska, że ona ma oczy i że nic się jej zdawać nie mogło... No, i zaraz wyszła, ale jeszcze na schodach powiedziała głośno do samej siebie: „Istny dom warjatów!"...

Wtedy już nie mogliśmy wytrzymać i zaczęliśmy się śmiać, ale mama wzięła nam to za złe, mówiąc, że nie powinniśmy się wyśmiewać z takich rzeczy. To wcale nie jest zabawne, bo pani Kozłowska miewa często podobne zamroczenia. To ma być nawet dziedziczne w jej rodzinie...

I na tem się skończyło, a Janek już na drugi dzień oddał Bolkowi za tę ranę w głowie. Może nawet oddał lepiej, bo przez kilka dni Bolek wstrzymał się od walki i tylko czytał książki, liżąc się z ran. Musiał mu Janek porządnie dogodzić. Ale nie mieli do siebie najmniejszego żalu i jeszcze w tym samym tygodniu zaczęli się bić na nowo.

Tylko, że od czasu tej awantury walki były znacznie mniej krwawe. O, bez żadnego porównania! Czasem jedynie, ale to bardzo, rzadko coś się zdarzyło, a tak, zazwyczaj, walka kończyła się poprostu oskalpowaniem t. zn. że każdy pokonany pozwalał na to, że zwycięzca obcinał mu trochę włosów z czubka głowy. Nie za dużo, bo nie wystarczyłoby na dłuższy czas, ale w każdym razie spory pęk włosów. Zresztą od czasu, kiedy bawiliśmy się na zmianę w Samsona i Dalilę, poodrastały nam włosy i było z czego wycinać.

To skalpowanie odbywało się bez protestów, zupełnie spokojnie, a każdy miał jakąś sprawiedliwą miarę w ręce i w nożyczkach. Nawet Bolek nie cyganił prawie nigdy przy tem. Ale, że każdy codziennie był kilka razy zwycięzcą i kilka razy pokonanym, więc wychodziły te włosy bardzo szybko. I wyglądaliśmy strasznie. Bo każdemu została tylko odrobina włosów po bokach, a reszta była powycinana we wszystkich kierunkach całemi kępkami. Włosy przeciwnika wiązało się nitką i wieszało u pasa. Mieliśmy bardzo dużo tych trofeów.

Dziwnym trafem mama nie zauważyła jakoś tego, że każdy z nas miał coraz mniej swoich włosów na głowie a coraz więcej cudzych u pasa. Dopiero spostrzegła to w kościele. Staliśmy tak jakoś pod światło... Ludzie już od dawna patrzyli się na nas i oglądali ze wszystkich stron, a nawet niektórzy zaczynali się powoli odsuwać. Nie wiem, jak ja sam wyglądałem, ale np. na widok Janka można się było przestraszyć. Bolek wyglądał jeszcze gorzej. A dopiero po wszystkiem powiedziała mama, że z nas trzech ja może najgorzej. Ale nie była tego pewna.

Zresztą, możliwe, że ja. Bo to było właśnie po całym tygodniu najbardziej zaciętych walk, w ciągu których musiałem się wycofać aż do Górnego Brodu, t. j. za łóżko. Przed kolacją zrobiliśmy dokładny obrachunek i pokazało się, że Bolek i Janek mają oddać po trzy skalpy, a ja, aż pięć. Nie wiem nawet, skąd się wzięło jeszcze tyle włosów na mojej głowie. No, ale mi to jakoś wystrzygli nożyczkami, które już były zupełnie tępe. Bolało trochę, tylko że nie wolno się było nawet skrzywić podczas obcinania. Tak samo, jak przy pasowaniu na rycerza, kiedyśmy się nawzajem uderzali mieczem. Jeszcze po tem ostatniem oskalpowaniu przejrzał się każdy w lustrze i zaraz powiadamy, że teraz już mama zobaczy i z pewnością będzie niekontenta.

No, i rzeczywiście mama zauważyła wszystko na tem nabożeństwie. I kazała nam wyjść! Ale to zaraz, w tej sekundzie! I prościuteńko do fryzjera! Poszliśmy, ale mama po drodze była tak zdenerwowana, że sobie nic nie dała wyperswadować. I z tego gniewu zapowiedziała stanowczo, że nas każe ostrzyc do samej skóry, maszynką zero. Null—Null! Chcieliśmy przynajmniej utargować numer pierwszy, ale mama nawet nie słuchała, mówiąc, że się przez nas wstydu najadła. Więc się już nawet nikt z nas nie odzywał. Zresztą pewni byliśmy, że mama tylko tak grozi, ale przecież nie pozwoli, aby nas fryzjer strzygł tą maszynką zero, tak na gołą pałę. Przecież to niema najmniejszego sensu!

Jednak pomyliliśmy się, bo mama rzeczywiście z irytacji kazała to zrobić fryzjerowi, a sama wyszła, aby jeszcze coś załatwić na mieście. Pieniądze dla fryzjera za nas trzech dostał Bolek do rąk jako najstarszy.

Fryzjer oglądał nasze głowy ze wszystkich stron i okropnie się dziwił. Wreszcie spytał, jak się to stało, że mamy takie powygryzane włosy. Bolek był wogóle wściekły, więc mu wytłómaczył zaraz na poczekaniu: Byliśmy na wsi u wuja. Tam są takie olbrzymie szczury. Amerykańskie... I to one właśnie...

Zdaje się, że fryzjer nie uwierzył, ale ciągle się dziwił. I z tego zdziwienia zamiast za trzech policzył tylko za dwóch. Więc w każdym razie mieliśmy z tego jakiś tam zysk. Niedużo, bo niedużo, ale zawsze coś. Podzieliło się to na równe części. T. zn. Bolek wziął trochę więcej. Ale nie sprzeczaliśmy się z nim, bo to może naprawdę była jego wyłączna zasługa, że się ten fryzjer pomylił...

PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI

Na Zanzibarze jest sułtan w ogromnym, białym turbanie, a na niebieskiej Hiszpanji król, który ma najwyżej, ale to najwyżej siedemnaście lat. Czyli o niecałe siedem lat starszy od Bolka. Nie wiem dlaczego, ale to mnie dziwi i często przypatruję się temu królowi. Ma oczy szeroko otwarte i dumne bardzo, ale, gdy mu się dłużej przyglądam, widzę, że on się czegoś boi. Może się mylę, ale tak mi się zdaje... Bo króla włoskiego, Humberta, który na wszystkich markach ma takie wielkie wąsy, niedawno zabili. Anarchiści. Cesarzową Elżbietę także i to zaraz z samego początku roku szkolnego. Nawet Bolek i Janek mieli wolne w szkole z tego powodu i bardzo byli kontenci, że się to nie stało podczas wakacyj. Gdyby to było trochę wcześniej, — jakieś trzy, cztery dni, nicby im z tego nie przyszło. A tak jeden dzień przynajmniej. Obie ich klasy bardzo się z tego cieszyły, ale babcia powiedziała, że to ogromnie brzydko ze strony tych chłopców, chociaż Elżbieta była austrjacką cesarzową. Zresztą Bawarka z domu. Mnie jakoś także tej Elżbiety żal, bo była piękna. Bolek mówi, że z pewnością inaczejbym gadał, gdybym tak jak on chodził do szkoły. Możliwe.

Ale temu hiszpańskiemu królowi chyba dadzą spokój, bo przecież jeszcze za młody. Może nawet nie ma skończonych siedemnastu lat?

(D. c. n.)

Pawilony Francuskiej Afryki Zachodniej na Wystawie Kolonjalnej w Paryżu

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA KOLONJALNA W PARYŻU

W dziedzinie współpracy międzynarodowej — wystawy spełniają dużą rolę. Nietylko dlatego, iż pozwalają poznać zdobycze cywilizacyjne i kulturalne poszczególnych narodów, lecz również dlatego, iż są ogniskiem, skupiającem ludzi z różnych środowisk, państw i klas. Wystawy międzynarodowe we Francji mają szczególnie dobrą sławę. Paryż jest zawsze tym magnesem, który przyciąga rzesze, pragnące zapoznać się, bądź też odnowić znajomość z metropolją Francji. Z miastem uśmiechu i swobody; zarazem zaś — miastem pracy i nieustannego rozwoju.

Projekt urządzenia wystawy kolonjalnej przez miasto Paryż powstał już w roku 1914. Został on podjęty po wielkiej wojnie pod wysokim protektaratem marszałka Lyautey; realizacja ta będzie dziełem monumentalnem. Międzynarodowa Wystawa Kolonjalna w Paryżu zostanie otwarta w początkach maja i trwać będzie 6 miesięcy.

Stosownie do określenia p. Cayla, wystawa powinna być: „Wielką Księgą kolonij, gdzie prawo i posiadanie Metropolji zapiszą się wyraźnemi zgłoskami, popartemi wymownemi obrazami".

Paryż chce przedstawić światu obraz całej Francji. Każda kolonja francuska będzie miała swój pawilon, a niektóre budowle i pałace będą tam reprodukowane z największą dokładnością. Zwiedzający będą mogli obserwować życie tubylców każdej kolonji. Marokańczycy, mieszkańcy Tunisu i Algeru z Afryki półn., murzyni z Afryki zachodniej, żółci azjaci i Malgaszowie z Madagaskaru — wszyscy oni będą żyli swojem zwykłem życiem, w mieszkaniach, zbudowanych na wzór ich własnych budowli.

Wystawa kolonjalna w Paryżu ukaże nam dzieła kolonizacyjne różnych narodów — dzieła dotąd bardzo mało znane, a nabierające w ostatnich czasach coraz większego znaczenia.

Bóstwa z Madagaskaru na Wystawie Kolonjalnej

Kolonizacja rozprzestrzenia cywilizację.

Położenie Wystawy Kolonjalnej nadzwyczajnie jej odpowiada, albowiem lasek de Vincennes rozdziela naturalną zasłoną drzew poszczególne kolonje. Cała wystawa zajmuje przestrzeń o długości 1400 m. Dział francuski i wystawy zagraniczne otaczają jezioro Dumesnil.

Dział francuski

Na pierwszym planie *Pawilon Madagaskaru* góruje nad wioską Malgaszów, dalej u wylotu długiej alei *Świątynia w Angkor* wznosi ku miastu swoje koronkowe kopuły. Obok — zgrabny pawilon *anamicki, pagoda Kambodży,* miasteczko *rybaków Laockich,* rozległa *wieś Tonkińska* z domem mandaryna i targowiskiem.

Znalazłszy się przed świątynią — zwiedzający widzi szeroką aleję.

Na prawo ciągną się osady z Martyniki — Guadelupy i wyspy Reunion, rybaków z St. Pierre i Miquelon, leśny pawilon Guyany, pawilon Tahiti, nowej Kaledonji i wybrzeża Somali. Na lewo — pałac francuskiej Afryki zachodniej i w formie pocisku zbudowany gmach Afryki równikowej.

Dalej znajdować się będzie pałac Algeru, Tunisu i Marokka, państw podległych zwierzchnictwu Francji: Syrji, republiki Liberyjskiej, Kamerunu i Toga.

W szeregu imponujących pawilonów ukażą kolonje swą przeszłość — swój postęp i miejsce jakie zajmują w ekonomji narodo-

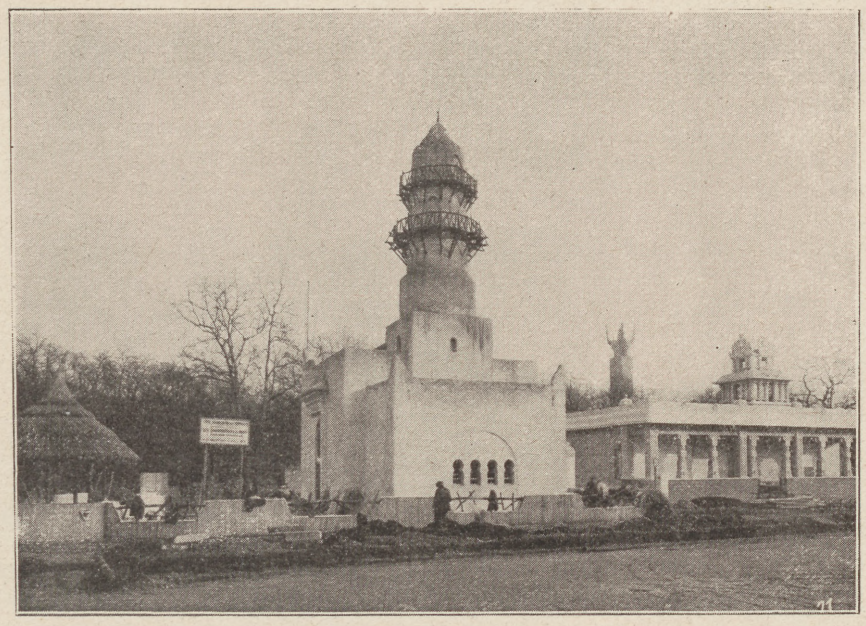

Pawilon kolonji Somali

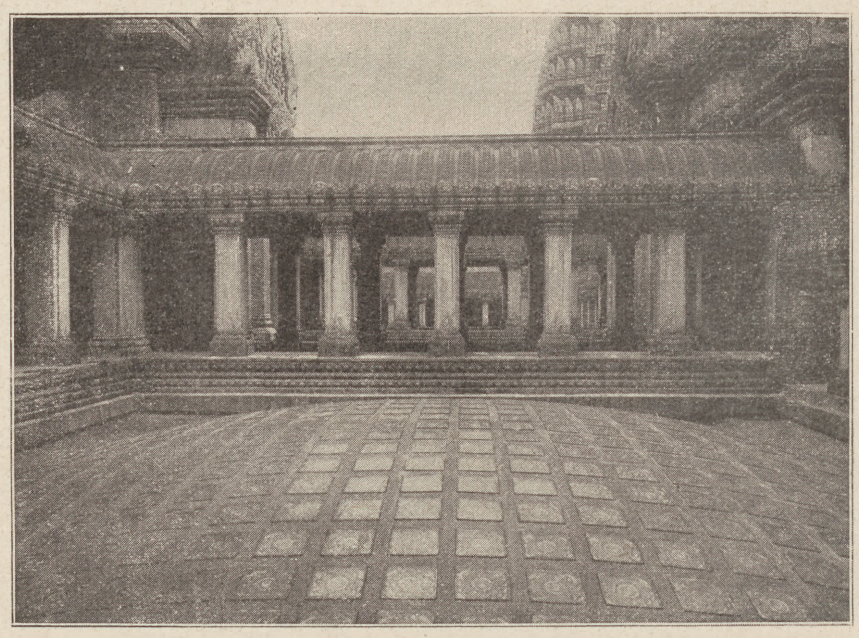

Wnętrze świątyni w Angkor

wej. Ale dzieło kolonizacji w całości dokonane przez Francję, będzie skoncentrowane w Pałacu Ministerstwa Kolonji w dwóch działach: retrospektywnym i syntetycznym.

Pierwszy wykaże wysiłki wielkich Francuzów dla obdarzenia Francji kolonjami — do Napoleona III, dział syntetyczny — działalność Francji w tych kolonjach od 1870 r. aż po dzień dzisiejszy.

Kilka bardzo wymownych cyfr: w r. 1870 władza kolonjalna Francji rozciągała się zaledwie nad obszarem 1.000.000 km. kw. i 5.000.000 mieszkańców, — obecnie Francja posiada 12.000.000 km. kw. (22 razy przewyższające powierzchnię Francji) i 55 000.000 mieszkańców. Obrót handlowy sięga 30 miljardów franków.

Dział systetyczny ukaże nam jeszcze prace Francji, dokonane dla polepszenia doli mieszkańców i wysiłki, zmierzające do podniesienia wartości ziemi. Zobaczymy też wojska kolonjalne, flotę handlową, porty kolonjalne, turystykę, drogi komunikacyjne, (żelazne, morskie i powietrzne, samochodowe etc.). Istnieje specjalny dział drzewny, muzeum malarstwa i rzeźby, bibljoteka, akwarjum i globus świetlny olbrzymich rozmiarów, statki rybackie i futrzane, drogie kamienie.

Atrakcje

A ile atrakcyj oczekuje zwiedzających? Muzyka, taniec, zabawy, spacery na wielbłądach, na „pousse pousse", łódkami krajowców po jeziorze Dumesnil. Luksusowe restauracje tubylców — dancingi — ogród zoologiczny, gdzie mieścić się będą najpiękniejsze okazy fauny egzotycznej na wolności: słonie, żyrafy, zebry, gazelle, małpy, strusie etc.

Tak wielkie przedsięwzięcie pociąga odpowiednie trudności co do pomieszczenia i lokomocji. Zwiedzający mogą być jednak zupełnie spokojni; wszystko będzie całkowicie przewidziane. Ilość mieszkań jest dostateczna i po cenach umiarkowanych. Co zaś do komunikacji — specjalna linja kolejki podziemnej skraca czas podróży z placu de l'Opera na teren wystawy do kilku minut. Przewozi 80.000 podróżnych na godzinę. Tramwaje i autobusy w tym samym czasie mogą przewieźć 30.000 osób.

Fotografje reprodukowane w „Tygodniku Ill." dają czytelnikom pojęcie o budowlach, wzniesionych na terenach Wystawy Kolonjalnej.

Szczegółowe informacje, których zasięgałem, pozwalają przypuszczać, iż wielu Polaków wybierze się do Francji. Gorące przyjęcie jest im zapewnione.

Paul Simon

(Fotogr. dostarczone przez autora)

MOJA DWUDZIESTA PIERWSZA JESIEŃ

Śmierć przecięła rozwój młodego talentu, w chwili, gdy rozwijał skrzydła, gdy krzepił się w sobie i mężniał.

Ze strof młodego autora wieje smutek, rezygnacja, przeczucie zbliżającego się końca. A przecież czuje się w jego utworach możliwości niewyzyskane, akordy niewyśpiewane, przebija w nich poszukiwanie „jakiegoś wielkiego słowa", znać pracę wewnętrzną oraz nad samą techniką pisarską.

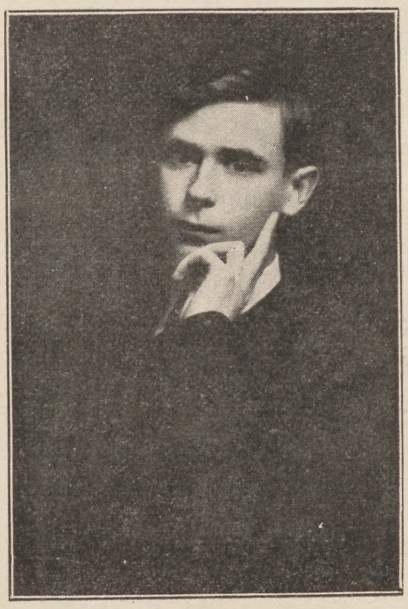

Ś. p. K. J. Piotrowski

Szlachetne porywy młodzieńcze, walka o „jakąś myśl piękną, czystą, promienną, nową" w zestawieniu z owem przeczuciem nieubłaganej śmierci tworzą prawdziwie tragiczny obraz.

Taka jesteś słodka i cicha,
złotem oblana,
i taka pełna słonecznych promieni,
moja dwudziesta pierwsza jesieni,
kochana.

Sypiesz mi czerwień na oczy,
liście na głowę,
liście grabowe, lipowe, olchowe —
szeleścisz mi liśćmi, szeleścisz,
coś szepcesz, wyjawiasz i wieścisz,
i jest mi słodko i miło,
jakby mnie wcale nie było,
tylko te liście, liście,
barwione kraśnie, złociście,
cudeńka Boże,
pod okiem jasnych, jasnych promieni
mojej dwudziestej pierwszej jesieni,
ostatniej może.

(r. 1930)

*

Mądrzyłem się kiedyś nieskromnie,
wszystkiego było mi mało,
dziś pragnę już tylko, by po mnie
na świecie coś pozostało.

Chcę mieć tę uciechę dżdżownicy,
tej glisty, co spulchnia ziemię,
żem nie żył wśród was po próżnicy,
że świat byłby inny beze mnie.

Chcę mieć tę uciechę pająka,
co sił i śliny ostatkiem
pomiędzy belkami świronka
zbudował srebrzystą siatkę.

To mało, to bardzo jest mało
mieć krzyż i napis na płycie —
chcę, by się wam na coś przydało
to moje zbyteczne życie.

A może choć drzewem wyrosnę,
ku słońcu liściem wystrzelę
i będę miał kwiaty na wiosnę?

— — — — — — — —

A może pragnę za wiele?

(r. 1930)

*

Tak sobie żyję głupio,
że o tem gadać szkoda;
wczoraj był poniedziałek,
a jutro będzie środa.

Zmieniłem rano krawat
z szarego na niebieski:
gorączka trochę spadła
o dwie, czy też trzy kreski.

Takie to wszystko marne,
takie jałowe, puste:
ot, jeszcze parę wierszy
i trochę krwi na chustce.

Ot, parę słów i rymów
w tej trwodze i nadziei,
że może coś wyrośnie,
coś z tego się wyklei...

(r. 1930)

*

Cicho. Przymykam powieki.
Idę zwolna, omackiem, schylony.
Dziwnie jestem spokojny, daleki
i tak bardzo zmęczony, zmęczony.

Wiatr jest taki dobry, łagodny,
tak rozgarnia mi włosy i pieści —
niema już we mnie gniewu,
niema już we mnie boleści;
rozsypuję się, mienię, opadam,
jak gałęzie ręce rozkładam
nikłym, bezradnym gestem —
oto stoję, drzewo bez liści,
nie tęsknię, niczego nie pragnę,
spokojny i cichy już jestem:
bez bólu, bez nienawiści...

(październik 1930 r.)

KONRAD JAN PIOTROWSKI

W REPUBLICE NICARAGUA

Generał Augustin C. Sandino

Straszne trzęsienie ziemi nawiedziło stolicę Nikaragui, Managuę, niwecząc w ciągu kilku minut owoce długich wysiłków i zabiegów. Grozę katastrofy spotęgowało przerwanie przewodów gazowych, skutkiem czego wybuchnęły pożary, dopełniając dzieła spustoszenia. Managua była już widownią katastrofy żywiołowej. W roku 1876 została całkowicie zniszczona przez powódź.

Mimo tych klęsk i nieszczęść — tętno życia w republice nikaraguańskiej nie ustaje. Katastrofa — nie przesłania sobą wysoce palących zagadnień polityczno-społecznych. W pierwszym zaś rzędzie: walki o niezawisłość państwową, prowadzonej nieubłaganie przez gen. Sandino.

Rewolucje w Ameryce środkowej były dotychczas rzeczą tak częstą, iż naogół biorąc reszta świata mało na takie wypadki zwracała uwagi. Wyjątkowo jednak to, co się dzieje od kilku lat w republice Nikaragua coraz więcej interesuje zagranicę, a to głównie z uwagi na ciekawą walkę, jaką od lat czterech toczy zaledwie tysiąc żołnierzy licząca armja generała Sandino.

Powody, jakie skłoniły tego generała do zbrojnego wystąpienia, wiążą się bezpośrednio z historją projektowanego kanału, jaki miał połączyć dwa oceany poprzez republikę Nikaragua.

Natura, w kilku miejscach Ameryki środkowej utworzyła wielkie jeziora, z których jedno zw. Nikaragua łączy rzeka San Juan z Atlantykiem. W tem miejscu pozostałoby do przekopania kilkadziesiąt kilometrów, aby uzyskać połączenie z oceanem Spokojnym. Projekt przekopania kanału przez republikę Nikaragua istniał od początku XIX wieku. Wybrano jednak Panamę, być może w obawie przed częstemi trzęsieniami ziemi.

Mimo, iż ruch okrętów nie był dotychczas tak wielki, by kanał panamski okazał się niedostateczny, to jednak Stany Zjednoczone w celach strategicznych, a głównie w celu posiadania możności szybkiego przerzucania swej floty wojennej z oceanu Atlantyckiego na ocean Spokojny, już dawno postanowiły wybudować drugi kanał transoceaniczny. Naprzód próbowały zakupić potrzebne im terytorjum, wreszcie jeden z prezydentów Nikaragui, po zaciągnięciu pożyczki w Banku „Brown Brothers & Seligman" w Nowym Jorku zawarł ze Stanami Zjednoczonemi traktat t. zw. „Bryan-Chamarro", mocą którego Nikaragua oddała Stanom Zjednoczonym wyłączne prawo budowy kanału transoceanicznego w ciągu 99 lat. Traktat ten oddawał Stanom Zjednoczonym część terytorjum niepodległego państwa Nikaragua i stał się powodem niezadowolenia pewnej części ludności, która autora tego traktatu Senora Chamarro uznała za zdrajcę ojczyzny. Traktat „Bryan-Chamarro" rozpoczął rewolucję, która spowodowała zbrojną interwencję Ameryki północnej.

Wojska Stanów Zjednoczonych przybyły do Nikaragui w roku 1926. Wówczas na czele powstańców stanął generał Augustin C. Sandino. Ten młody, zaledwie dwadzieścia kilka lat liczący oficer armji Nikaragui, postanowił nie złożyć broni, dopóki ostatni marynarz Stanów Zjednoczonych nie opuści terytorjum jego państwa. Jeszcze dwa lata temu dowództwo armji północno-amerykańskiej sądziło, iż walka partyzancka potrwa zaledwie kilka miesięcy i że ostatecznie gen. Sandino wpadnie w ręce marynarzy i podzieli los innych rewolucjonistów, mężnie kończąc życie na gałęzi pierwszego lepszego drzewa. Lecz stało się inaczej. Gen. Sandino zapewne nie prędko wpadnie w ręce marynarzy amerykańskich.

Nie wiele osób miało możność w ciągu ostatnich kilku lat widzenia gen. Sandino. Ten egzotyczny bo-

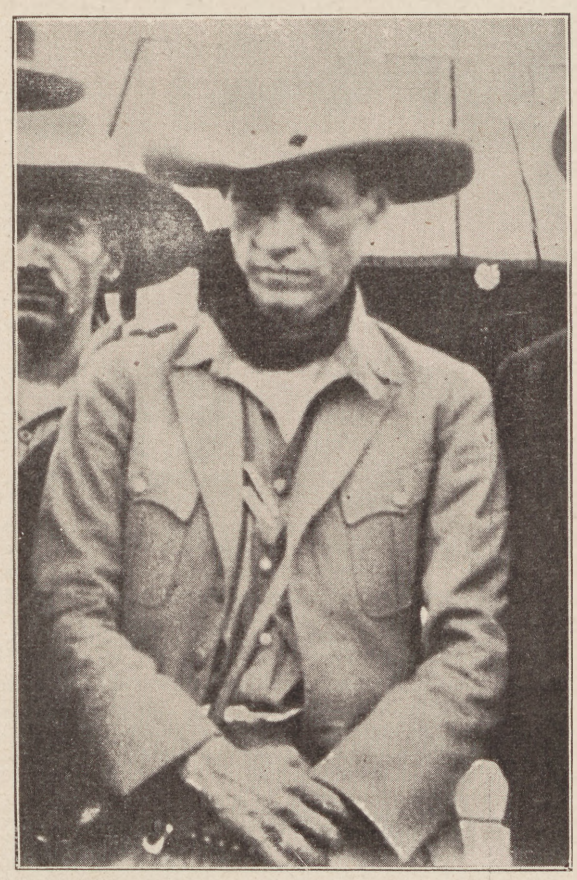

Nieubłagany przeciwnik Stanów Zjedn. i obrońca niezawisłości Nikaragui, gen. Sandino

hater schronił się w niedostępne puszcze środkowo-amerykańskie i co pewien czas, daje znać światu o sobie, napadając znienacka na świetnie uzbrojonych Amerykanów.

Stany Zjednoczone wydały dotychczas 5.500.000 dolarów na walkę z gen. Sandino, który stoczył z marynarzami około 300 potyczek. Co parę miesięcy prasę północno amerykańską alarmują wiadomości o nowych ofiarach. Obecna polityka Białego Domu znalazła wielu przeciwników wśród wyższych sfer społeczeństwa amerykańskiego. W 1923 roku utworzono w Nowym Jorku stowarzyszenie pod nazwą: „Liga Patriotica Nicaraguense", towarzystwo to zgrupowało żywioły wrogo przeciw polityce Waszyngtonu usposobione. Najciekawszym jest może fakt, iż pieniądze na propagandę za niepodległością Nikaragui pochodzą z kieszeni obywateli amerykańskich, którzy sympatyzują z gen. Sandino. Wreszcie propaganda ta prowadzona na szerszą skalę, odbiła się głośnem echem na uniwersytetach, gdzie wśród młodzieży rozpoczęto zbieranie składek na walkę gen. Sandino. W Nowym Jorku i w innych miastach Stanów Zjednoczonych odbywały się wiece protestacyjne, które wzbudziły sympatję nietylko kół bliżej stojących ruchu niepodległościowego Nikaragua, ale także między szerokiemi warstwami robotników.

Ojciec jednego z sierżantów, poległych w roku 1929 w Nikaragua, wystosował otwarty list do prezydenta Stanów Zjednoczonych, w którym z oburzeniem piętnował imperjalistyczną politykę Waszyngtonu. List ten przedostał się ku zadowoleniu gen. Sandino do prasy, wywołując burzę protestów. Wobec tego, iż protesty stały się zbyt głośne „American Legion", związek weteranów armji amerykańskiej prosił rząd waszyngtoński o deportowanie ze Stanów Zjednoczonych, tych opozycjonistów, którzy nie są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Deportacje te miały w pierwszym rzędzie dotyczyć brata gen. Sandino. który w Nowym Jorku organizował publiczne zbiórki na walkę z marynarzami amerykańskimi. Piszący te słowa miał wielokrotnie okazję stykania się na gruncie amerykańskim z bratem gen. Sandino, który z całą stanowczością utrzymywał, iż walka powstańców doprowadzi do całkowitego wyrzucenia z terytorjum Nikaragui wrogiej armji północno-amerykańskiej. W roku 1928 twierdzenie takie nie zasługiwało na wiarę, ale obecnie po trzech latach wszystko się zmieniło. Gen. Sandino dowiódł Stanom Zjednoczonym, iż męstwo jego bosonogich żołnierzy oraz sympatja dwudziestu krajów amerykańskich może zwyciężyć uzbrojone w armaty potężne krążowniki państwa zaborczego. W styczniu 1929 roku było jeszcze 5,217 oficerów i żołnierzy amerykańskich w Nikaragui, w styczniu 1931 roku było ich tylko 1,412. Minister spraw zagranicznych A. P. Stimson oświadczył, iż wszystkie wojska wycofa z Nikaragui w dniu 1 stycznia 1932 roku, sądząc, iż do tego czasu zorganizowana zostanie t. zw. Guardia Nacional, która w dalszym ciągu prowadzić będzie walkę z gen. Sandino.

Rząd waszyngtoński za mało jednak liczy się z tem, iż ten tak zw. przez nich bandyta, gen. Sandino urósł w pojęciu opinji publicznej do miary bohatera. Gen. Sandino stał się symbolem walki z inwazją amerykańską, a sława jego dawno już rozeszła się poza granicę szczupłego państewka. Generała Sandino zna zarówno Buenos Aires, jak i Meksyk, mówi się o nim nietylko w Waszyngtonie, lecz i w Paryżu. Przedstawiciel tego generała w Meksyku, dr. Zepeda, w lutym 1931 r. oficjalnie zaproponował Stanom Zjednoczonym zawieszenie broni pod warunkiem wycofania ich wojsk z Nikaragui. Rzecz oczywista, iż Waszyngton pozostał głuchy na te propozycje, lecz... prasa świata całego zamieściła tę wiadomość, dodając, że minister Stimson oświadczył, iż wojska swoje wycofa do dnia 1 stycznia 1932 roku.

Obecnie nie można jeszcze przewidzieć, jaki będzie koniec tej walki, toczącej się od czterech lat, lecz bezstronni obserwatorzy stwierdzić już mogą, że gen. Sandino bohatersko broni słusznej sprawy.

Dr. Roman Ciechanow

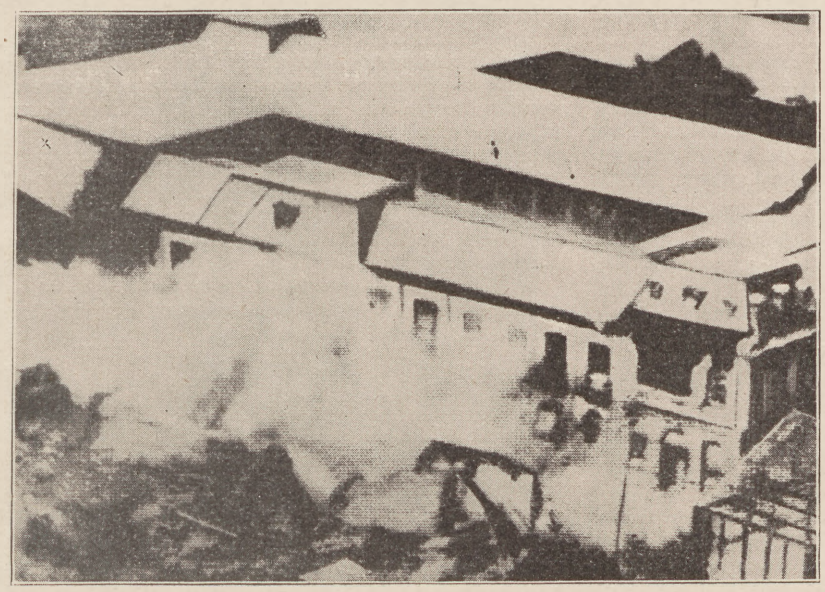

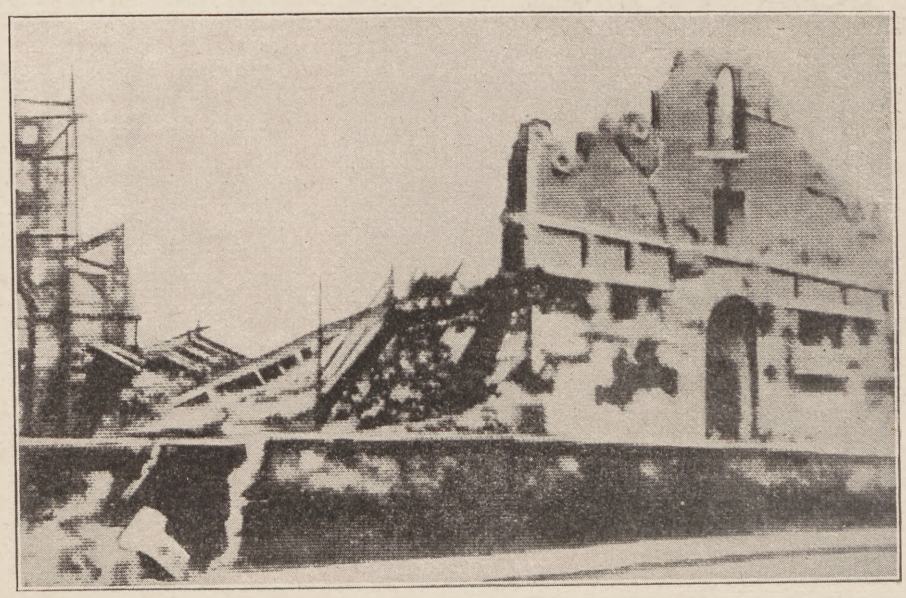

Trzęsienie ziemi w mieście Managua, stolicy Nikaragui. Ruiny kościoła i domów według zdjęć przekazanych do Europy drogą kablowo-telegraficzną Fot. Pacific-Atl.

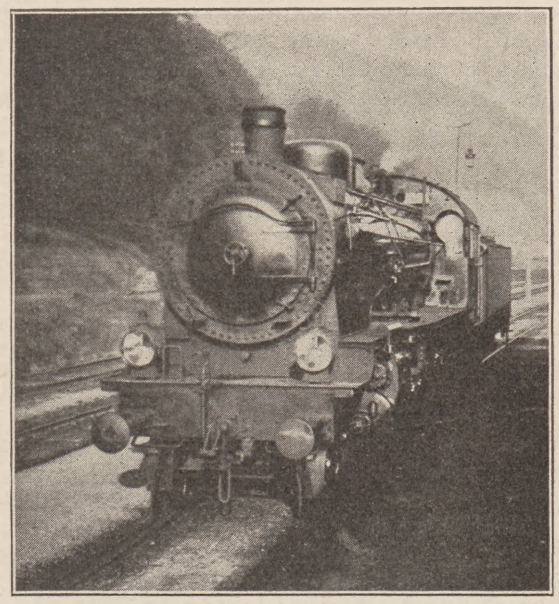

CORAZ PRĘDZEJ

Redakcja nasza może z czytelnikami podzielić się radosną i ciekawą wiadomością. Udało jej się mianowicie uchylić rąbka tajemnicy jaka okrywa jeszcze przygotowania nad wprowadzeniem nowego rozkładu jazdy (od 15 maja r. b.). To co zobaczyliśmy, przedstawia się naprawdę imponująco.

W przeciwieństwie do zawiłych dość komunikatów oficjalnych, które oznajmiły już zdezorjentowanej publiczności, lakonicznie i niezrozumiale, że od 15 maja podróżni nasi zyskają 24.722 minut na dobę (tabliczka mnożenia, logarytmy i... co dalej?), postaramy się czytelnikom naszym dać nieco jaśniejszy obraz tego, co naprawdę dokonano.

Istotnie reforma jest duża i dość poważna a polega na racjonalnem i dokładniejszem wyzyskaniu czasu, przez znaczne przyśpieszenie biegu pociągów, przez skrócenie czasu postoju na stacjach, lub nawet, w poszczególnych wypadkach, — przez skasowanie zbędnych przystanków. Trzeba odrazu podkreślić, że najbardziej zyskują na nowym rozkładzie pociągi osobowe, zwłaszcza na linjach, znajdujących się dotąd w największem zaniedbaniu (np. Łuck — Lwów). Ponadto ruch pasażerski poprawiono znacznie przez wprowadzenie na niektórych linjach t. zw. pociągów przyśpieszonych, idących niejednokrotnie prędzej od obecnych pośpiesznych, a nie pobierających dopłaty za szybkość.

Przechodząc do poszczególnych szlaków należałoby może rozpocząć od połączenia stolicy z morzem. Pociąg pośpieszny, idący na Mławę, przyśpieszono ku morzu o 38 minut (niestety odjazd z Warszawy o wpół do pierwszej w nocy jest stanowczo zbyt późny). Po ruszeniu z Warszawy pociąg ten staje dopiero w Mławie (134 km., w tem kolej obwodowa i mosty w 130 minut) i to... na pół minuty. Powrotny zyskuje 48 minut, a na niektórych odcinkach na Pomorzu *musi* rozwijać do 85 km. na godz., ma bowiem rozkładowo około 76 (nprz. w 59 minut — 75 km.). Kursujące na tymże szlaku pociągi sezonowe na Hel przyśpieszono również: jeden z nich zyskał 33 min., a drugi 82 minuty.

Wcale nie gorzej przedstawia się komunikacja z Gdynią przez Bydgoszcz. Dzienny pośpieszny będzie szedł do Gdyni wprawdzie tylko 16 minut krócej, ale powrotny zyska godzinę i 16 minut. Najszybsze odcinki przypadają na linje pomorskie: Terespole — Bydgoszcz 41 km. w 31 minut, Bydgoszcz — Toruń 50 km. w 39 minut. Podobne zmiany zastosowano w przebiegu pociągów osobowych. Jeden z nich na dystansie Toruń — Warszawa zyska od nowego rozkładu godzinę i 10 minut (odjazd Toruń 8.02, przyjazd Warszawa 13.30).

„Nowy kurs" rozkładowy ujawnił się nie mniej pięknie na linji Warszawa — Kraków. Pośpieszne zyskały ok. 25 minut, osobowe przeszło godzinę. Podróż z Warszawy do Krakowa lub vice versa będzie trwała 6 godz. i 15 minut. Niestety pociągów kąpielowych (Zakopane — Krynica) nie przyśpieszono wcale, podobno z powodu zbyt ciężkich składów. Jednemu z nich dołożono nawet 10 minut na dystansie Kraków — Zakopane, co jest najbrzydszą plamą całego rozkładu wogóle, a dyrekcji krakowskiej w szczególności. Tu pewna niedyskrecja: w tak zwanym „pierwszym zarysie" nowego rozkładu uwidoczniony był projekt rozbicia wielkiego pociągu kąpielowego, (ciągnącego wagony do czterech miejscowości) na dwa oddzielne pociągi („krynicki" i „zakopiański"), biegnące w kilkanaście minut jeden za drugim i rozbiegające się w różnych kierunkach dopiero od Krakowa. Projektu tego, jak widać, zaniechano, choć przemawiało za nim wszystko: krótkość peronów stacyjnych, niemogących obsłużyć arcydługiego „kąpielowca", wzgląd na tortury pasażerów, gniotących się w przepełnionych wagonach, trudności trakcyjne, zwłaszcza przy wzniesieniach. Wszystko to jednak upadło z powodu oporu dyrekcji krakowskiej i zarządu dworca (?), który zaklinał ministerstwo, że dwum pociągom nie da rady. Dziwna to stacja i dziwne kierownictwo ruchu, które woli zawiłe i koszmarne manewry przy rozczłonkowywaniu olbrzymiego, nadeszłego w Warszawy składu, niż proste przyjęcie i wypuszczenie w drogę dwóch niedługich pociągów, z których jeden w całości wyruszałby ku Tarnowowi, a drugi ku Chabówce.

Wielu radykalnych zmian doczekał się ruch na linji Warszawa — Katowice — Piotrowice. Obu pośpiesznym skrócono czas jazdy o 50 i 58 min., a powrotnym o 28 i 43 min. Nastąpił również „Cud nad Olzą". Długie postoje w Dziedzicach, postoje co do których tylekroć przysięgano, że są niezbędne, skrócono tak, że np. większość pociągów stoi tam tylko 6 minut. Powrotny pociąg rzymski biegnie z Katowic do stolicy 5 g. 15 min., a staje dopiero w Warszawie. Dystans ten (106 km.) przebiega w 90 minut. Jest to bodaj największa szybkość na ziemiach byłej kongresówki.

Pośpieszny krakowski dzienny biegnie z Częstochowy do Warszawy 3 g. 35 m. Z Koluszek do Skierniewic (40 km.) 34 minut. Ze Skierniewic do Warszawy (67 km. i uciążliwy wjazd na dworzec główny) — 58 minut. Tego jeszcze nie było!

Niemniej sztuką jest wyprawianie ze Skierniewic do stolicy pociągu osobowego, zatrzymującego się po drodze sześć razy, a przebywającego tę przestrzeń w godzinę i 12 minut, co jeszcze w rozkładzie ubiegłym było czasem pociągu pośpiesznego. Tu jednak znów anomalje: dlaczegóż inne pociągi osobowe, zatrzymujące się tylko cztery, a nawet dwa razy, biegną wolniej?

Zresztą taki sam fakt możemy zaobserwować na linji toruńskiej. Pośpieszny ranny do Pucka (odj. 9.35) biegnie z Warszawy do Kutna 2 g. 7 m. Osobowy przyśpieszony poznański... o 6 minut krócej. Pytanie poco każe się publiczności dopłacać za pośpiech? Jeśli zaś dodamy, że jeden z osobowych biegnie z Kutna do Łowicza 46 minut, zatrzymując się przytem dwa razy co daje znów szybkość zasadniczą wiekszą od pośpiesznego) będziemy mieli nowy kwiatek „kolejowych sofizmatów".

Linja Warszawa — Poznań — Zbąszyń też przedstawia się dobrze. Czas jazdy ze stolicy do Poznania niespełna pięć godzin. Pociągi osobowe przyśpieszono około godziny. Jedną parę pośpiesznych zamieniono na przyśpieszone bez dopłaty, przyczem mimo dodania sześciu postojów, czas jazdy pozostał ten sam. Pośpieszny paryski zyskuje między Warszawą a Berlinem 35 minut, wyłącznie dzięki zasłudze kolei polskich.

„Lux" paryski między Poznaniem i Zbąszyniem przebiega 75 km. w 54 minuty, co zmusza do rozwijania przeszło 90 km. na godzinę. Szkoda, że „lux". Albowiem koleje winny forytować przedewszystkiem własne pociągi, a nie obce.

To forytowanie prowadzi do arcyciekawego lapsusu. Otóż jeden z pośpiesznych dziennych krzyżuje, trzy razy na tydzień kursujący „lux" między Wrześnią a Koninem. Logicznie zdawałoby się, że władze kolejowe zatrzymają dla skrzyżowania „lux". Tymczasem dzieje się naodwrót. Zatrzymuje się na małej stacyjce pociąg własny, używany przez szerokie rzesze podróżnych. Pociąg ten będzie stał w jakimś Spławiu około dziesięciu minut, trzy razy w tygodniu czekając aż „lux" raczy przejechać, a cztery razy w tygodniu... ot tak sobie. Bo rozkład rozkładem, a „luxu" w dnie te niema. Takie zmarnowane 40 minut tygodniowo — to jaskrawy przykład naszej kolejowej biurokracji.

Na linji kaliskiej wprowadzono nowy pośpieszny pociąg Warszawa — Wrocław (odj. 0.20, przyj. 8.06), a dalej zamieniono na przyśpieszony dzisiejszy pośpieszny z wagonami do Berlina.

Pewne skrócenia uzyskujemy w nowym rozkładzie na linji lwowskiej, gdzie ponadto przeniesiono odjazd rannego pośpiesznego na 14.55 z przyjazdem do Lwowa na 23.40. Obiad w Warszawie — kolacja we Lwowie! Któż mógł o tem marzyć, prócz pasażerów, korzystających z komunikacji samolotowej? Pośpieszny nocny biegnie ze Lwowa do Warszawy 8 g. 41 m. Rano (o 9.05) wychodzić będzie ze stolicy przyśpieszony do Zdołbunowa, biegnący do Dęblina wszystkiego 2 godz. 5 min., pomimo pięciu postojów.

Godzi się również wspomnieć o połączeniu ze Lwowem pociągami osobowemi przez Bełżec i Rawę Ruską, gdzie poprawa jest olbrzymia. Oto jeden z pociągów zyskuje tam 4 i ćwierć, a drugi 3 i pół godziny. Cała podróż do Lwowa trwać będzie pociągiem osobowym 11 i pół godz. A tak niedawno jeździło się pośpiesznemi przez Rozwadów 12...

Pośpieszne Warszawa — Wilno zyskały 25—35 minut (Wilno—Warszawa 7 g. 15 m.), paryski skrócono na dystansie Warszawa — Stołpce o dalsze 40 a powrotny o 46 minut. Pociągi na Siedlce zyskały ponadto dobre połączenia z Pińskiem (8 godzin). Między Warszawą a Baranowiczami będzie też kursował nowy pociąg osobowy (odj. 14.55, przyj. 23.50).

Rewelacyjnie przedstawia się zupełnie dotąd zaniedbana linja Dęblin — Dąbrowa. Wprowadzono tam pociąg przyśpieszony Radom—Katowice w pięć godzin, oraz Warszawa—Kielce—Kraków. Ten ostatni odchodzi z dworca głównego o 19.30 (trochę za późno), jest w Radomiu o 22.50, w Kielcach o 0.43 i w Krakowie o 5.55. Zpowrotem Kraków odj. 0.25, Kielce 5.22 (trochę za wcześnie), Radom 7.09, Warszawa przyj. 10.15.

Lwów—Poznań przez Rozwadów—Skarżysko—Łódź znacznie przyśpieszono. Wprowadzono bezpośrednią komunikację z Łodzi do Gdyni przez Bydgoszcz i nową linję na Kościerzynę. Na nowej kolei Zduńska Wola—Herby kursować będą dwie pary pociągów Łódź—Katowice (czas jazdy około 5 godzin). Lwów posiadać będzie pośpieszny do Bukaresztu. Zaleszczyki dwustronną komunikację, przyczem czas jazdy ze stolicy zostanie skrócony z niedawnych 24 godzin na 16 (przez Kołomyję).

Szlak zdołbunowski (przez Lublin) przynosi zaszczyt dyrekcji radomskiej dotąd biorącej dość senny udział w pracach nad przyśpieszeniem biegu pociągów. Korzyści przy pośpiesznych wynoszą tu około trzech kwadransów, przyczem na dystansie Lublin—Kowel (159 km) skasowano nieodzowne (jak myślano dotąd) branie wody. Osobowe wykazują stosunkowo jeszcze wybitniejszą poprawę, niż pośpieszne.

Są jednak linje, na których, wbrew zdrowemu rozsądkowi, konkurencji autobusowej, kategorycznym żądaniom opinji publicznej i prasy, a przedewszystkiem naprzekór wyraźnym instrukcjom ministerstwa komunikacji — zwolniono bieg pociągów i popsuto z trudem wywalczane poprawy. Takim rażącym wyjątkiem jest właśnie dyrekcja krakowska, gdzie na pierwszorzędnym dla ruchu osobowego szlaku Kraków—Zakopane i Krynica nastąpiło poważne pogorszenie. Wybitnym sprzymierzeńcem dyrekcji krakowskiej okazały się pod tym względem sąsiednie odcinki dyrekcji katowickiej i poznańskiej, na linjach Ostrów—Katowice. Zwolnienie pociągów jest znaczne i wynosi miejscami d z i e s i ę ć m i n u t na godzinę.

Jakkolwiek więc nowy rozkład możemy poczytywać za pewnego rodzaju reformę, a w każdym razie pożyteczne ulepszenie, to jednak nie jest on jeszcze doskonały. Smutne zaś refleksje przychodzą na myśl, że trzeba było pięciu lat usilnej kampanji w całej prasie polskiej, oraz konkurencji autobusów, aby wreszcie zbliżyć szybkość naszych pociągów do warunków „częściowo" europejskich. Dotąd biły nas na tem polu nietylko kraje „wysokowartościowe", lecz nawet Czechosłowacja, Rumunja i... Rosja Sowiecka. A komunikat o przyśpieszeniu biegu pociągów o 24.722 minuty na dobę zmusza nas do stwierdzenia, że tyle właśnie czasu (a może i więcej) dotychczas na polskich kolejach państwowych marnowano. Przecież nowy osobowy nocny Toruń—Warszawa biegnie o 10 minut prędzej (przy 12 postojach) od obecnego pośpiesznego (4 postoje).

Dobrze więc, że wreszcie kolejowy „Monsieur Lebureau" poruszył się na swym fotelu. Sądzimy, że nie spocznie na laurach i, raz nabrawszy rozpędu, weźmie się do roboty. Nie zapominajmy, że ostatnio osiągnięto w Niemczech 140 km/godz. w próbach, a szybkość 100—120 km/godz. jest we Francji i Anglji chlebem powszednim.

K. E. K.

JAK SIĘ »JEMU« PODOBAĆ?

O co chodzi kobiecie? O to, żeby być piękną i żeby się „jemu" podobać... Ach, i pozostać młodą, wiecznie młodą...

Pewien, nawet bardzo mądry i sławny mężczyzna, gdy go zapytano, czy bardzo kocha swą żonę, odparł z niewinnym uśmiechem: ja kocham wszystkie kobiety, dlaczegóż miałbym robić wyjątek dla mojej żony?

Otóż właśnie... żeby nie wszystkie, żeby tylko tę jedną wybraną...

W dążeniu, aby być wiecznie inną, a zawsze interesującą, — kobieta znajduje sprzymierzeńców: fabrykanta tkaniny, którego twórczy mózg przewidzi jutrzejsze zamysły krawca, i grand faiseur'a, tworzącego z niej postać wiecznie nową, nieprzewidzianą, a wciąż zmienną...

Tej wiosny paryżanki postanowiły być rozsądne, przynajmniej w godzinach porannych, przywróciły więc panowanie klasycznego kostjumu „tailleur", z żakietem o kroju męskiej marynarki, któremu fantazja krawca doda pasek lub lekkie wcięcie. Kolory: granat, bronzowy, beige — lub ciemna zieleń. Żeby jednak już tak zanadto na serjo nie brać tego rozsądku, jaskrawe szale, których barwę odnajdujemy w przybraniu kapelusza, kolorowy kwiat, wyszycie zamszowej rękawiczki, — wprowadzają do całości wesołą nutkę lekkomyślnej, zaczepnej radości życia. Nieodzowny towarzysz kostjumu — bluzka, odnajduje pełne prawo obywatelstwa. Ale nie „angielska", związana męskim krawatem pod szyję, — tę pozostawiamy dla sportów, — lecz małe arcydzieła, wypracowane w pliski i zakładeczki, z gładkiej organdyny lub haftowanego muślinu, z puszystym i wdzięcznym żabotem.

Nie należy zbytnio ufać temu, że nam wreszcie pozwolono „nosić" piersi i biodra. Ogólna linja sylwetki pozostaje smukła, mocno wydłużona, czemu sprzyja bezspornie już teraz ustalona spódniczka długa, nawet u kostjumów. Dystyngowana dama nosi płaszcz i przedobiednią sukienkę nieomal że do kostek, pozostawiając świecenie cielistemi łydkami swej Kasi czy Florci. Pończoszki nosi się ciemne, pantofelki mocno wycięte, z matowej skórki lub lakieru — na ulicę, z jedwabiu w kolorze sukni — na wieczór.

Fantazje w sukniach wieczorowych nieograniczone, gdyż w tej dziedzinie moda, oparta na linji ogólnej smukłej i raczej prostej, bez przesadnego wcięcia w pasie, nadaje się do dowolnej interpretacji i uwzględnia indywidualność piękności kobiecej.

Moda niedalekiej przyszłości, to znaczy już na jesieni, będzie niewątpliwie pod znakiem Wystawy Kolonjalnej w Paryżu. Jakiż bowiem artysta oparłby się czarowi wysp dalekich i krain egzotycznych? Na tkaninach jedwabnych będziemy więc odnajdywać motywy w rodzaju palm z Madagaskaru lub wielbłądów z Indo-Chin... Miejmy nadzieję, że wytworny smak Paryża jakoś sobie i z tem poradzi... Gorzej może być w Ameryce...

H. N.

SALON GRAFIKI 1931

W Salonie Garlińskiego wystąpiło z doroczną wystawą stowarzyszenie polskich artystów-grafików „Ryt"; stowarzyszenie, gromadzące najwybitniejszych w Polsce przedstawicieli tej gałęzi sztuki.

Na pierwszy rzut oka robi wystawa obecna wrażenie mniejszego bogactwa, niż występ poprzedni. Wrażenie to pochodzić się zdaje stąd, że wstrzymała się od udziału para artystów, którzy na swym ostatnim po-

Staruszek *W. Podoski*

kazie wyróżniali się właśnie oryginalnością i śmiałością nowych swych poszukiwań, mianowicie Kulisiewicz i Konarska; ci bowiem graficy, którzy w wystawie uczestniczą, nie obniżyli bynajmniej poziomu swych poszukiwań; niektórzy wykazują wyraźny postęp.

Nowe tedy poszukiwania znajdujemy w wystawionych obecnie pracach *Wiktora Podoskiego*, jednego z wirtuozów techniki drzeworytniczej. Podoski obrał w tym roku, roz-

Dziedziniec u Baryczków *T. Cieślewski syn*

Miasteczko w zimie (drzeworyt) *Wł. Skoczylas*

myślnie, jak się zdaje, tematy bardzo proste i skromne w ujęciu formalnem; są to właściwie niemal że akademickie studja; pod ich pozorną prostotą kryje się jednak ogromna wytworność w posługiwaniu się narzędziem, którego artysta używa z predylekcją, a mianowicie, wielokrotnym rylcem. Osobiście są-

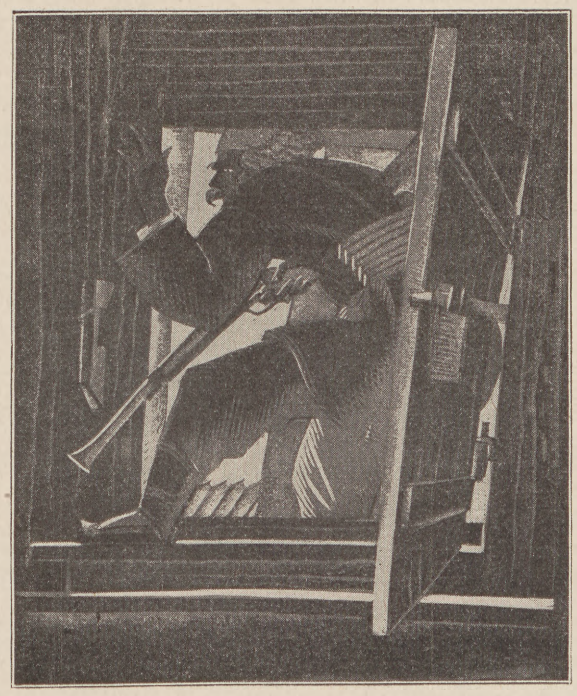

Zbójnik *E. Bartłomiejczyk*

dzę zresztą, że ta wytworność faktury lepiej harmonizowała z wyszukaną kompozycją jego dawniejszych martwych natur.

Drugi wirtuoz rylca, *Chrostowski*, którego „Ucieczka do Egiptu" miała tak wyjątkowe powodzenie — jak się zdaje głównie dzięki nadzwyczajnej prostocie środków, dających maksimum efektu, — wystawił i w tym również roku rzecz ogromnie prostą, a zarazem pomysłową w wyzyskaniu właściwości techniki drzeworytniczej, a mianowicie — „Ptaka na śniegu", oraz parę wybitnych prac o charakterze dekoracyjnym: „Zranionego jelenia" i „Ex libris d-ra Tretera". Kompozycja „Matka i dziecko" wydaje mi się natomiast mniej przekonywająca w rysunku, którego prostota graniczy już z ubóstwem.

Owocem szczerego i poważnego wysiłku jest dalej „Ogrójec" *Krasnodębskiej-Gardowskiej*, drzeworyt dwubarwny, odznaczający się oryginalnością i śmiałością w zestawieniu owych właśnie dwu barw: czarnej i niebieskiej, ponadto technicznie opracowany z dużą rzetelnością i, jak wszystkie dzieła tej artystki, silny i śmiały w wyrazie; jak wiele dzieł Krasnodębskiej, drzeworyt ten grzeszy jednak zbytnim już brakiem poprawności rysowniczej, zbyt — powiedzmy — swobodnem interpretowaniem anatomji. *Goryńska*, przy założeniach, które trudno jest przyjąć bez dosyć daleko sięgających zastrzeżeń, wykazuje jednak duże postępy techniczne.

Z pośród najmłodszych artystów najciekawiej przedstawia się *Nadelmanówna*, oddająca zapomocą techniki akwafortowej owe subtelności groteskowego nieco wyrazu, do których wydobycia ta najsubtelniejsza z technik graficznych tak dobrze się nadaje. *Obrębska* zdaje się na razie nieco w swych różnorodnych poszukiwaniach niezdecydowana, *Średnicki* zaś — nieco jeszcze zbyt poprawny i akademicki.

Z artystów o całkowicie już ustalonej renomie uczestniczą w wystawie *Bartłomiejczyk, Borowski, Cieślewski syn, Mrożewski, Skoczylas.*

WACŁAW HUSARSKI

Ptak na śniegu *St. O. Chrostowski*

»MŁYN DJABELSKI« LUD. RÓŻYCKIEGO

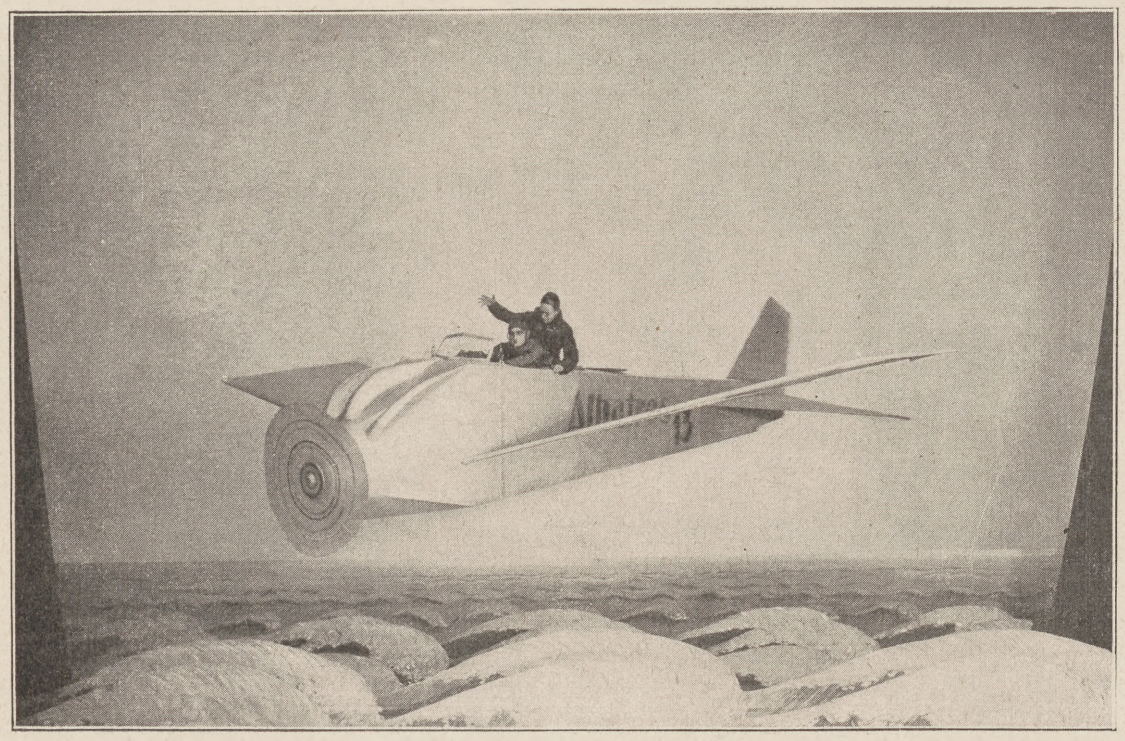

Fot. St Markiewicz

Opera Ludomira Różyckiego „Młyn djabelski" z powodzeniem wystawiona w Poznaniu, osnuta jest na temat aktualny. Scena główna — lot przez Atlantyk! — nie jest pozbawiona sensacyjności

DIALOG WIOSENNY

Już od kilku dni pan Karol zauważył jakieś dziwne objawy w zachowaniu się swej małżonki. Pani Lola była uprzedzająco grzeczna, nie czyniła mu wyrzutów, gdy wybierał się na bridge'a, parokrotnie ostentacyjnie zrezygnowała z fryzjera i, co najciekawsze, przestała narzekać na ciężkie czasy.

— Tu coś nie jest w porządku, — zdecydował pan Karol i ze stoickim spokojem wyczekiwał na rozwój wypadków.

Doświadczenie go nie zmyliło. Po kilku dniach takich przygotowań pani Lola przystąpiła do ataku.

— Koteczku, — zwróciła się do męża, gdy ten po obiedzie zapalił tradycyjne cygaro, — czy nie uważasz, że powinniśmy mieć samochód?

Pan Karol w pierwszej chwili zaniemówił. Więc to nie o kapelusz chodziło, nie o sukienkę, nie o futro, lecz o prawdziwy samochód?

— Zastanów się, kobieto, przecież samochód kosztuje krocie, a moi klienci nieomal codziennie dopuszczają weksle do protestu. Przecież za protestowane weksle nikt mi samochodu nie sprzeda. Zresztą za ciężkie teraz czasy na taki luksus.

— Za ciężkie czasy, przedrzeźniała go, — a powiedz proszę, wiele ty wydajesz miesięcznie na taksówki?

— Na taksówki? No, powiedzmy, ze dwieście złotych.

— Drugie tyle ja wydaję, razem więc kosztują nas taksówki czterysta złotych. A utrzymanie własnego samochodu kosztowałoby nas tylko sto złotych.

— A garaż? A szofer?

— Garaż mamy przecież w domu. A szofer jest całkiem zbędny. Przecież jeszcze tamtego lata ukończyłam kurs kierowców, a ty w ciągu miesiąca nauczysz się prowadzić. Sto złotych kosztować będzie benzyna i smary, a po trzysta będziemy spłacali samochód. Zato, pomyśl sobie, będziemy mogli każdej niedzieli jeździć na wycieczki, odwiedzać znajomych *własnym samochodem.*

— Ma rację Lola, — przyznał w duchu pan Karol, lecz na wszelki wypadek nie dawał za wygraną.

— Łatwo ci mówić — sto złotych miesięcznie. Wszakże na sto kilometrów taki samochód spali ze dwieście litrów benzyny.

— Skąd znowu? Wystarczy aż nadto siedem, osiem litrów.

Pani Lola wyczuła doskonale, że szala zwycięstwa przechyla się na jej stronę i ze zdwojoną energją rozpoczęła przekonywać męża. Pan Karol zaś sam nie spostrzegł, jak dyskusja z tematu zasadniczego — kupić, czy nie kupić — przeszła do zagadnienia innego — jakie auto należałoby kupić?

— Jeżeli już koniecznie mielibyśmy kupić ten samochód, musielibyśmy nabyć maszynę ciężką, solidną, a za tanie pieniądze moglibyśmy nabyć tylko mały tandetny samochód, z którego samabyś nie była zadowolona.

— Ciężka maszyna? Odrazu znać, że nic a nic nie interesujesz się automobilizmem. Dawno już minęły te czasy, gdy waga maszyny stanowiła o jej solidności. Ciężka maszyna — to przeżytek. Teraz nowoczesne maszyny budują nawet bez ramy. Cały samochód trzyma się na jednej stalowej rurze, a konstruktorzy dalej dążą do usunięcia każdego kilogramu zbędnej wagi własnej. Nawet wprowadzają powietrzne chłodzenie. Nie trzeba ze sobą dźwigać ciężkiej chłodnicy z wodą, można na mrozie zostawiać maszynę, bez obawy o pęknięcie chłodnicy.

— Skąd u licha ona o tem wszystkiem wie, — zdumiewał się w duchu pan Karol i resztkami sił bronił swego autorytetu.

— Może masz w tem trochę racji, lecz maszyna ciężka lepiej trzyma się szosy i jest bezpieczniejsza na zakrętach.

— Przesada! A od czego istnieją łamane osie?

— Łamane osie? — pan Karol nigdy o tem nie słyszał. Cóż to znowu za wynalazek?

W innej sytuacji pani Lola poprostu zniecierpliwiłaby się i powiedziała mężowi kilka przykrych epitetów. Teraz jednak, gdy przyświecała jej nadzieja zdobycia własnego samochodu, uzbroiła się w cierpliwość i rozpoczęła prelekcję:

— Zauważyłeś chyba, jak podczas jazdy złą drogą, samochód podskakuje na wybojach? Otóż wynaleźli na to sposób. Tylna oś samochodu jest elastyczna, każda jej połowa może poruszać się niezależnie od drugiej. Gdy jedno koło trafia na wybój, uderzenie nie przenosi się na resztę samochodu. Podskoczy samo koło, lecz samochód będzie toczył się równo. Zobaczysz, za kilka lat wszystkie samochody będą miały takie ruchome osie. Teraz rozumiesz?

— Owszem, rozumiem. Ale powiedz mi proszę, czy może istnieć taki samochód, któryby łączył te wszystkie zalety: był niedrogi, oszczędny w użyciu, solidny, lekki i w dodatku miał ruchome osie.

— Nietylko może istnieć, lecz nawet istnieje. Zresztą ja wszystko przewidziałam, jutro pojedziemy na próbę taką maszyną.

Pan Karol po niewczasie zorjentował się, że małżonka całkowicie go przekonała.

— Aby tylko nie była brzydka maszyna, musimy wybrać ładny kolor karoserji.

Pani Lola obraziła się.

— Może przynajmniej ten jeden szczegół pozostawisz mnie. Mnie chyba najwięcej zależy na tem, byśmy jeździli ładnym samochodem.

— Nie gniewaj się, złotko, nie gniewaj się. Sama wybierzesz kolor. Gust masz dobry, więc i tutaj chyba cię nie zawiedzie.

*

Po tygodniu przed domostwem pana Karola stała lśniąca limuzyna chabrowego koloru. Pani Lola czule żegnała małżonka, jadącego do biura i niemniej czule spoglądała na samochód. Jej własny samochód.

— A więc nie zapomnij, Karolu, byś wcześniej dziś powrócił do domu. Muszę po południu pojechać do krawcowej, później do fryzjera a następnie na pokaz mód.

*

Cóż to była za maszyna, zapytacie, o tylu cennych zaletach? Ależ, oczywiście — „Tatra".

alfa

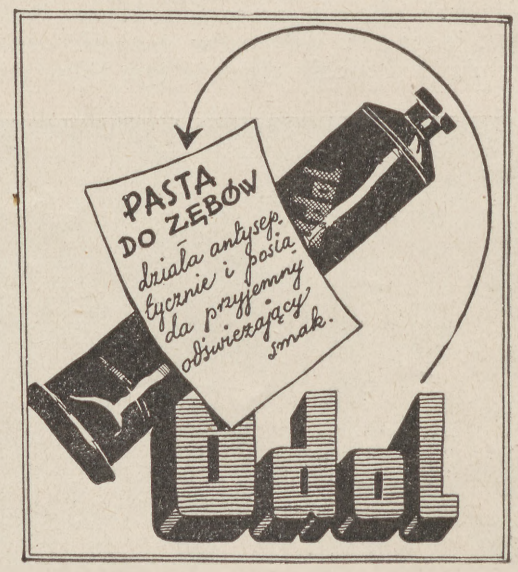

oryginalny dobry tani !!!
COGNAC MARTEAU
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Bronzy artystyczne, nagrody sportowe, zastawy biurkowe, figury, żyrandole i lampy w dużym wyborze, poleca
MAGAZYN FABRYCZNY WYROBÓW BRONZOWYCH
BRACIA ŁOPIEŃSCY
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 15, telefon 621-90.

Pamiętajmy o Flocie Narodowej

ODPOWIEDZI REDAKCJI

K. Nerth., W-wa. — Istotnie: jest w pańskim utworze coś, co nie pozwoli zaliczyć go do „płodów grafomaństwa" (nazwijmy „to" talentem). „Lato zbliża się do końca" wyróżnia się korzystnie wśród powodzi przeciętności i banałów. Brak mu jednak wyrazistości; rysunek spraw i wydarzeń zaciera się chwilami.

H. Boń., W-wa. — „Skrzypce" są do odebrania w redakcji „Tyg. Ill".

L. Śwież., Kraków. — „Odgłosy boru" nie dla nas.

Wandami, Lwów. — Z nadesłanych „gloss" na marginesie książki Kossak-Szczuckiej nie skorzystamy.

A. Bur., Motycz. — Nadesłany fejleton zaczyna się dosyć ciekawie, lecz niestety później cała historja z binoklami, w ogrodzie zoologicznym jest błaha, a przytem traktowana zbyt obszernie; napróżno oczekujemy dowcipnej pointe'y...

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Witold Lipiński: Poglądowa metoda nauki tańca. Nakł. autora, Łódź, Nr. 1, 2, 3, 4 i 5.

Są to próby ułatwienia nauki tańca przez wprowadzenie rysunków schematycznych na ruchomej tarczy, ilustrujących poszczególne fazy tańca. Krótka „teorja" stanowi objaśnienie i opis figur. Dotychczas ukazały się „Metody" walca, slow-foxa (2) i tanga. Autor jest znanym w Łodzi nauczycielem tańca. Dążeniem jego jest udostępnienie tańców salonowych.

Morze polskie i Pomorze w pieśni. Zebrał, ułożył oraz słowem wstępnem i objaśnieniami zaopatrzył dr. *Władysław Pniewski.* Staraniem i nakł. Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Gdańsk, 1931.

Pięknie, starannie wydana antologja naszej poezji morskiej zawiera utwory, począwszy od Jana z Czarnolasu, poprzez poetów kaszubskich, aż po najnowszych autorów. Ciekawe są jako dokumenty języka pieśni kaszubskie: mowa ich twarda, chropawa, jędrna, ale: „Tam, gdzie Wisła od Krakowa W polscie morze płynie, Polska wiara, polska mowa Nigde nie zadzinie". (Hieronim Derdowski 1880 r.). Trzeba więc, ażebyśmy sobie jak najczęściej przypominali: „Tu jest ojczyzna moja i dom mój: Pomorze".

Wczytując się w morskie strofy Kochanowskiego oraz innych poetów zbliżamy się uczuciowo do Bałtyku i Pomorza, odżywa w nas jakieś atawistyczne przywiązanie do morza: „Od morza jesteśmy, od morza, od szumnych bałtyckich wód" — jak żywo brzmią tę słowa Jana Kasprowicza, albo te radosne, rozmachu pełne i potęgi strofy Kazimierza Wierzyńskiego:

Prosto z zatoki Gdyńskiej na Bałtyk i z fali,
Pełnej złotych bursztynów, bijącej o Hel,
Na morza, na Atlantyk — i dalej i dalej,
Niech z masztów naszych czerwień łopoce i biel!

Żegnajcie i witajcie, dalekie wybrzeża,
Sygnały portów, mola, panoramy miast!
Wiatr wyprawy nam sprzyja, puls równo uderza,
Syreny gwiżdżą w niebo na wyjazd i wjazd.

O, pozdrowione bądźcie morza, oceany
I lądy, których blady rozpierzcha się ślad!
Flota nasza pokłonem bandery rozwianej
Jak ojczyznę ogromną, salutuje świat".

(ar.)

Michał Assanka-Japołł: Trembowelska Glorja. Powieść historyczna, poprzedzona listem Stefana Żeromskiego. Z ilustracjami Tad. Korpala. Cieszyn. 1931. Nakł. autora. Skł. gł. Gebethner i Wolff w Krakowie.

Aureli Drogoszewski: Pozytywizm polski. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Lwowie, 1931. Cena 1.50 zł.

Zofja Gostomska: Z kanadyjskich szlaków. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Lwowie, 1931.

Klub Urzędników Państwowych w Warszawie: Sprawozdanie z działalności za rok 1930. Warszawa, 1931.

Korpus Ochrony Pogranicza. W szóstą rocznicę objęcia służby na granicach Rzeczypospolitej. 1924—1930. Praca zbiorowa z ilustracjami.

J. Krishnamutri: Przemówienia. Rok. I. Zeszyt I. Wydawnictwo dzieł J. Krishnamutri. Listopad, 1930.

J. Krishnamutri: Przemówienia. Rok I. Zeszył II. Wyd. dzieł J. Krishnamutri, Warszawa, luty 1931.

Stanisław Łoza: Słownik architektów i budowniczych Polaków oraz cudzoziemców w Polsce pracujących. Wyd. drugie, uzupełnione. Wyd. Kasy im. Mianowskiego, Inst. Popierania Nauki, Warszawa, 1931.

Konrad Niedźwiecki: Ze wspomnień. Skł. gł. Nasza Księgarnia, Warszawa, 1931.

Kpt. Stefan Pomarański: Zarys historji wojennej 36-go pułku piechoty Legji Akademickiej. Wyd. II poprawione z ilustracjami. Warszawa, 1931.

Józef Ujejski: Dzieje polskiego mesjanizmu do powstania listopadowego włącznie. Wyd. Zakł. Narod. im. Ossolińskich we Lwowie, 1931.

Roman Brandstaetter: Droga pod górę. Kraków, 1931. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

Adrjan Czerminski: Ukraina w poezji Słowackiego. Kraków, 1931. Skł. gł.

J. K. Chodowiecki, mjr.: Przystępny podręcznik jeździecki. Z 233 rysunkami. Warszawa, 1930. Wojsk. Instyt. Naukowo-Wydawniczy.

Ks. Stanisław Wesołowski: Skarbiec chorych. Nauki na niedziele i święta. Warszawa, 1931. Kat. Tow. Wyd. „Kronika Rodzinna".

Wojciech Saryusz-Zaleski: Dzieje przemysłu w b. Galicji. Ze szczególnem uwzględnieniem historji rozwoju S. A. L. Zieleniewski i Fitzner-Gamper. Z przedmową prof. dr. *Franciszka Bujaka.* Kraków, 1930. Nakł. S. A. L. Zieleniewski i Fitzner-Gamper.

Feliks Przyjemski: O polskim systemie wychowawczym. Kraków. Księgarnia Tow. Szkoły Ludowej, 1930.

ZABURZENIA w TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ - SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA (z kogutkiem) SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE - GŁÓWNY SKŁAD. APTEKA A. GĄSECKIEGO. w WARSZAWIE, UL. FRETA 16.

MONTECATINI-TERMO

Najwięcej znane źródła wodolecznicze Italji. Godzina drogi od Florencji.

Miasto-Ogród w Toskanji z ciepłym źródłem Sprudel, położone wśród rozległych parków i historycznych gmachów. Rozbudowa pod względem architektonicznym i dekoracyjnym rozpoczęta w r. 1920 przy współudziale najwybitniejszych sił artystycznych Italji jest obecnie zakończona i podniosła Montecatini do rzędu najpiękniejszych

Uzdrowisk Europejskich.

Skutki kuracji wodoleczniczej nie mają sobie równych w przypadkach cierpień: wątroby, żołądka, kiszek i przemiany materji, jak również przy otyłości.

SEZON TRWA OD 1 KWIETNIA DO 30 LISTOPADA.

200 HOTELI I PENSJONATÓW.

LA PAGE GRAND HOTEL
Pierwszorzędny Zakład położony wśród własnego parku. Dyrektor Gener. L. MILENO.

BELLA VISTA & PALACE
W sąsiedztwie Kurhausu. Duży własny ogród. Całkowity pensjonat 45 – 60 lirów. Właściciel C. NUTI.

HOTEL CROCE DI MALTA
Pierwszego rzędu, obok Kurhausu.

Czarująca świeżość ust i policzków

podnosi urok kobiety, o ile jest naturalna. Dlatego też krem "Khasana-Superb" koloru pomarańczowego jest tak wyróżniany. Nadaje on naturalną swieżość, nie farbuje, jak zwykła szminka. Wtarcie cienkiej warstwy nadaje twarzy wytworny różowy ton. Krem ten odznacza się indywidualnie na każdej twarzy, wszystkie jednak upiększa i odmładza. Naturalność wyglądu wyklucza nawet podejrzenie zastosowania jakiegokolwiek środka.

Tę samą własność przystosowania się do cery posiada pomadka do ust "Khasana Superb". Podkreśla delikatnie linję ust i nadaje im młodzieńczą świeżość. Szybkie naturalne działanie umożliwia dyskretne zastosowanie w każdej chwili.

"Khasana Superb" krem i pomadka do ust są niewrażliwe na wpływ pogody i wody i nie ścierają się przy pocałunkach, a jednakże nikt nie domyśli się, że były one zastosowane. Jedynie mydło może je usunąć.

Dr. Albersheim's

KHASANA SUPERB

Pomadka do ust Khasana Superb w złotej oprawce — wytworny ołówek do wykręcania z przykrywką na zawiasie, podwójna zawartość — Khasana-Superb róż do policzków.

Wszędzie do nabycia!

Kupcie jeszcze dziś na próbę małą pomadkę do ust i róż. Wszędzie do nabycia! Miejsca sprzedaży chętnie wskażemy!

Dr. M. Albersheim, Frankfurt n. M. - Londyn - Gdańsk

OSTRZEŻENIE! Chcąc nabyć proszki naszego wyrobu, należy przy kupnie **akcentować** i wyraźnie żądać **oryginalnych** proszków **z „Kogutkiem"** Gąseckiego, znanych od lat trzydziestu. Zwracajcie uwagę i odrzucajcie **uporczywie polecane** naśladownictwa w łudząco podobnem do naszego opakowaniu. Najlepiej żądać proszków **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w naszem **oryginalnem** opakowaniu po 5 sztuk w pudełeczku. Cena 75 gr. **Osoby, dla których przyjęcie proszka sprawia pewną trudność, mogą przyjmować proszek „KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN"** w formie tabletki. (2 tabletki odpowiadają jednemu proszkowi). Opakowanie po 20 tabletek 1 zł. 50 gr. Żądać tabletek **„KOGUTEK-MIGRENO-NERVOSIN" w oryginalnem opakowaniu GĄSECKIEGO.**

Dział rozrywkowy

POD KIEROWNICTWEM M. CHOYNOWSKIEGO

104. KTÓRA GODZINA?

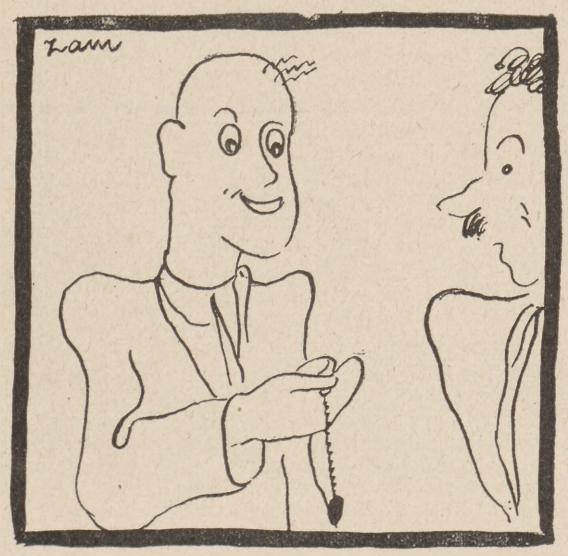

Znamy już dobrze pana Pętelkę z oryginalnego sposobu rozumowania. Gdy się go ktoś zapytał pewnego razu o godzinę, odpowiedział tak: „Jeżeli dodasz ćwierć czasu, który upłynął od północy oraz połowę czasu, który nas dzieli od następnej północy, to otrzymasz dokładną godzinę obecną". O której to było godzinie?

105. PRZYJACIEL DZIECI

Pan Pętelka jest wielkim przyjacielem dzieci i lubi się z niemi bawić. Tym oto razem namalował im kredą na plecach osiem cyfr, podzielił tak, że w jednej grupie były 1, 2, 3, 4 a w drugiej 5, 7, 8, 9 i obiecał dzieciom po filiżance czekolady jeżeli potrafią się podzielić tak na dwie inne grupy po czterech, by sumy cyfr obu grup były jednakowe. Cyfr oczywiście przerabiać nie wolno.

106. PARTJA BRIDGE'A

(Nadesłał p. *Jan Massajada* z Brzezin)

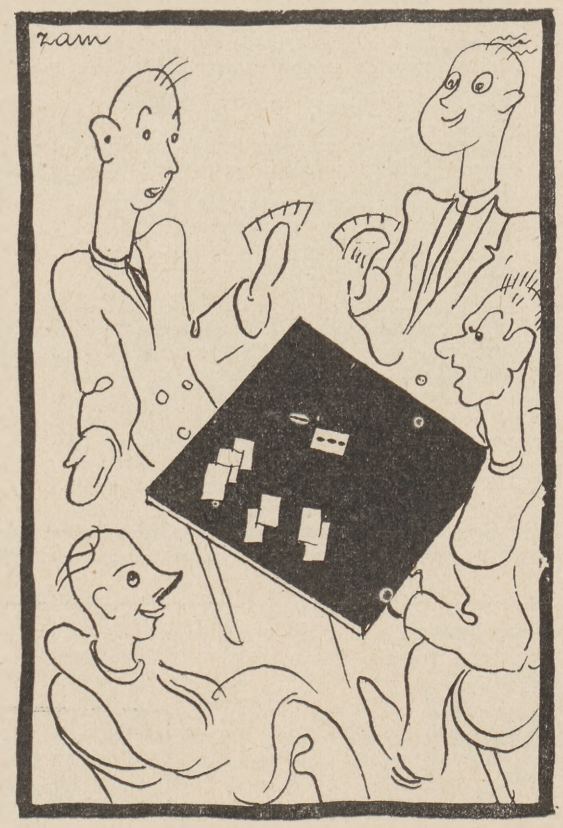

Pan Pętelka oraz jego przyjaciele Guziczek i Dziurka wygrali raz w bridge'a 204 zł., w czem Guziczek wygrał $^3/_5$ tej sumy, jaką wygrał pan Pętelka. Po ile złotych wygrał każdy, jeżeli wiadomo, że Dziurka wygrał o 50 groszy więcej od Guziczka.

107. PAN PĘTELKA W KŁOPOCIE

Jak ułożyć dziesięć monet w pięciu rzędach z czterema monetami w każdym — oto zagadnienie, nad którem głowi się pan Pętelka.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja przeznacza do rozlosowania następujące nagrody:

104. *Cyklon* T. Brudzewskiego.
105. *Ściany świata* Z. Nałkowskiej.
106. *Raz w życiu* W. Perzyńskiego.
107. *Powroty* J. Kossowskiego.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie trzygodniowym pod adresem: Redakcja „Tygodnika Illustrowanego", Warszawa, Zgoda 12. Dział rozrywkowy. Każdy rozwiązujący winien podać swe imię i nazwisko oraz dokładny adres.

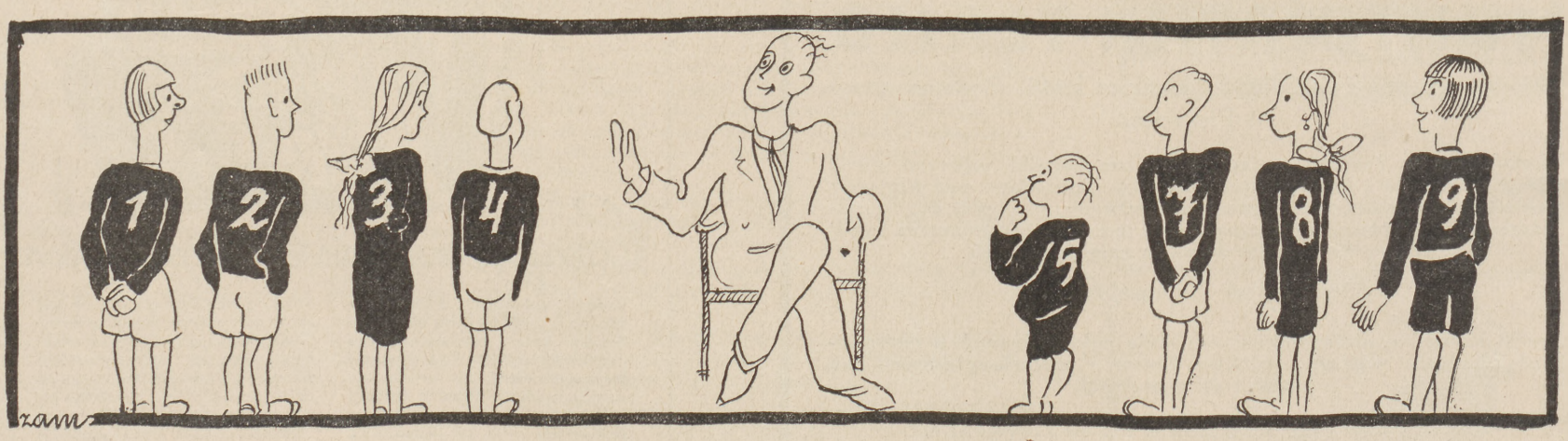

(Dalszy ciąg Działu Rozrywkowego obok na okładce)

POPIERAJCIE
LIGĘ OBRONY
POWIETRZNEJ
PAŃSTWA

HEMOROIDY!
CZOPKI HEMOROIDALNE GĄSECKIEGO
„VARICOL"
(z KOGUTKIEM)
USUWAJĄ BÓL, KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI).
HEMOROIDY ZEWNĘTRZNE
(GUZY ZEWNĘTRZNE) NALEŻY LECZYĆ MAŚCIĄ Z PRZEPISU POPOWSKIEGO
— SPRZEDAJĄ APTEKI —

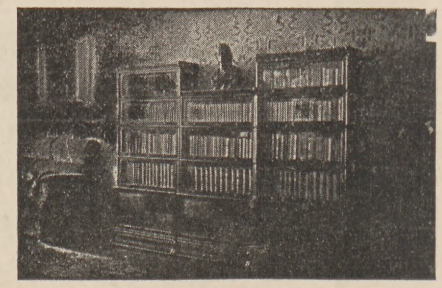

BIBLJOTEKI
SKŁADANE
od najmniejszej
do największej
dostarcza firma
STANISŁAW SKÓRA i S-KA
POZNAŃ
ALEJE MARCINKOWSKIEGO 23

Redaktor: Wacław Gebethner Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa. *Wydawcy: Gebethner i Wolff*

Dokończenie Działu Rozrywkowego ze str. 300

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z N-RU 7 »TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO«

79. UROCZYSTOŚĆ RODZINNA

Siedem osób można rozsadzić piętnastu możliwemi sposobami. Jeżeli osoby te oznaczymy literami od A do G, wówczas kombinacje będą się przedstawiać następująco: ABCDEFG — ACDBGEF — ADBCFGE — AGBFECD — AFCEGDB — AEDGFBC — ACEBGFD ADGCFEB — ABFDEGC — AEFDCGB — AGEBDFC AFGCBED — AEBFCDG — AGCEDBF — AFDGBCE.

80. NA DYNASACH

Zadanie staje się bardzo łatwe z chwilą uprzytomnienia sobie faktu, że przecież tor na Dynasach, jak i każdy inny tor kolarski, jest owalny, czyli że wszyscy jadący przed Łazarskim są jednocześnie i za nim. Tak więc na torze było wraz z Łazarskim trzynastu kolarzy: jedna trzecia dwunastu dodana do trzech czwartych dwunastu daje rozwiązanie — trzynaście.

Trafnych rozwiązań 56.

81. PAN PĘTELKA POLUJE

Ile wron pozostało? Oczywiście tylko siedem zabitych!

Zadanie polegało na daniu ściśle logicznej odpowiedzi na pytanie, które nie brzmiało ani *ile wron pozostało przy życiu?* ani też *ile wron pozostało na drzewie?*

Trafnych rozwiązań około siedemdziesięciu.

Rozwiązania nadesłało ogółem 121 osób, których spis podajemy poniżej. Cyfry w nawiasach oznaczają ilość rozwiązanych bezbłędnie zadań.

Hull (Anglja): Abłamowicz Halina (0).

Biała Podlaska: Medwecka Marja (0), Medwecki Józef (0). *Białystok:* Jaroszowa Leokadja (3). *Bielsko:* Niziołek Józef (0). *Borysław:* Psarska Zofja (2), Rzadki Tadeusz (3). *Brześć n/Bugiem:* Jaczynowska Halina (0). *Brzeziny:* Massajada Jan (2). *Bydgoszcz:* Feltynowski Antoni (1), inż. Kędzierowie J. (1).

Chełm Lubelski: Lechnicka Zofja (1). *Chrzanów:* inż. Tolkemit Karol (2). *Chybie:* Navaro Kamilla (0). *Cieszyn:* inż. Krudysz Jan (2). *Częstochowa:* Hankiewicz Zygmunt (2).

Dobrzelin: Kwiekowa Jadwiga (0). *Dziedzice:* Mrózek Franciszek (1). *Dzisna:* Mołczanow Michał (3).

Głębokie: Ginko Jan (1).

Hancewicze: dr. Michajłow Bazyli (1).

Jabłonna - Gucin: Broszkowski Stanisław (1). *Janów Lubelski:* „Ewunia" (1).

Katowice: Alsner Eugenjusz (0), Kräutler Henryk (1). *Kielce:* Gierowska Zosia (0). *Koluszki:* Michalski Eugenjusz (2). *Koło:* Mrożewski Leonard (1). *Kraków:* Paszyński Lucjan (2), Racławicki Stanisław (2), Suska Ewa (0).

Landwarów: Jaski R. (2). *Limanowa:* Chrapkiewicz M. J. (1), Mordawski Seweryn (2). *Lublin:* Polichowa Zofja (1), Sikorska Irena (1). *Lwów:* Gnoińska Janina (0), Goldowa Fryderyka (1), inż. Korzeniewicz Jan (1), Szajner Roman (0).

Łowicz: „Marek" (2). *Łódź:* Klimczak Stefan (0), Menzel Józef (1), Millerówna Teodora (2), Stolarski Józef (2), Wojtaszek Władysław (2). *Łuck:* Jedliczka Mieczysław (0).

Mielec: prof. Kawa Władysław (0). *Modlin:* kpt. Jabłoński Mieczysław (1), Jarmulski Edmund (2), Jarmulski Saturnin (2).

Nowemiasto: Spanili Mieczysław (1).

Ołyka: Kotowicz-Eysymontowa Marja (1). *Opatów Kielecki:* Zuchmantowicz Marjan (3). *Ostrów:* Halotowa Zofja (1).

Pabjanice: Trynk Witold (1). *Polanka - Karol:* Nieniewska Janina (2). *Poznań:* Adamanis Franciszek (1). *Przecław:* Wojtaszek Zdzisław (0). *Przeworsk:* Skarzyński Józef (1).

Radom: Stępień Jan (1). *Rembertów:* Sternicki Piotr (2). *Rożyszcze:* Sobieski Antoni (1).

Sambor: Maćkowski Jan (0), Piątkowska Walerja (0). *Siedlce:* Swinarski Hipolit (2), ppor. Włodarski Stanisław (2). *Stanisławka:* Oszustowski Zenon (0). *Stare Haby:* Waśkiewicz Franciszek (0). *Suwałki:* Bekielewski Franciszek (2).

Targonie - Wickie: Szubart Józef (1). *Tarnopol:* Olech Tadeusz (0). *Tobolska - Buaka:* Gryń Jan (1). *Tuliszków:* Bieluszko Jan (2).

Wadowice: Ryndak Jan (1). *Warszawa:* Ber Wiktor (3), Birkholc Karol (2), Bochiński Jan (2), Borkowski Henryk (2), Brandtowa J. (1), Cacek Mieczysław (1), Chmielewska J. (0), Chojnacki Eugenjusz (1), Dietrichowa Stanisława (2), Dowgirdowa Alina (2), Gil Czesław (0), Górski Cezary (1), Jabłoński Stanisław (1), Kołodko Włodzimierz (2), Kozłowski N. Kazimierz (1), Łebkowski Jerzy (3), Łebkowski Józef (3), Manterysówna Irena (1), Mieszkowska Anna (1), Nowicki Witold (3), Ostaszewski Jan (1), Olszewski Eugenjusz (3), Pałasińska Czesława (2), Polakowski Aleksander (2,) Pretkielowa Stanisława (1), Szepke Edmund (3), Szymborski Stanisław (0), Tomaszewski Wiesław (3), Tyblewski Jerzy (0), Tyblewski Roman (0), Wenda Janusz (0), Zakrzewski Stefan (2), Ziajowski Eugenjusz (1), Żak Romuald (1), Żerański Ludwik (0). *Wejherowo:* Rydz Leon (1). *Wieleń:* Paulo Władysława (0). *Wieliczka:* Chwalibogowski Witold (1). *Wilno:* Domański Bronisław (1), Hajkowicz Gustaw (2), Kawecki Aleksander (2), Kwiatkowska Zofja (1), Tacitus Eli (3). *Włochy:* Mierkowski Leon (1). *Włocławek:* Wojtczak Teofil (1).

Zawiercie: inż. Kaźmierczak Stanisław (1).

Nagrody otrzymują następujące osoby:

Zad. 79. „Czandu" Z. Bartkiewicza — *Jerzy Łebkowski* z Warszawy.

Zad. 80. „Romans Teresy Hennert" Z. Nałkowskiej — *Lucjan Paszyński* z Krakowa.

Zad. 81. „Nowy Tarzan" A. Langego — *Zofja Lechnicka* z Chełma Lubelskiego.

Nagrody wysyłamy pocztą w terminie trzytygodniowym.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO"

W WARSZAWIE:		POZA WARSZAWĄ (z przesyłką):		ZAGRANICĄ (z przesyłką):			
„Tygodnik Illustr." wraz z „Bibljoteką" oraz miesięcznikiem „Naokoło Świata" miesięcznie	9 zł. — gr.	miesięcznie	9 zł. 50 gr.	miesięcznie 11 zł. 50 gr.	półrocznie	65 zł. — gr.	
Z odnoszeniem do domu	9 zł. 50 gr.	kwartalnie	27 zł. 50 gr.	kwartalnie 33 zł. — gr.	rocznie	128 zł. — gr.	
		półrocznie	54 zł. — gr.	ZMIANA ADRESU		50 gr.	
		rocznie	106 zł — gr.	KONTO POCZTOW. KASY OSZCZĘDN. Nr. 143			

TELEF. REDAKCJI: 604-14; ADMINISTR.: 722-14; EKSPEDYCJI: 704-32; DZ. OGŁOSZEŃ: 697-26. — RĘKOPISÓW NIEZAMÓWIONYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

AGENTURY „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO".

GDAŃSK, Polskie T-wo Księg. Kol. „Ruch", Kaszubski Rynek 21.
INOWROCŁAW, Księgarnia St. Knasta.
KATOWICE, L. Fiszer, Poprzeczna 2.
KRAKÓW, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Rynek 23 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Szczepańska 9.
LUBLIN, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Hotel Europejski.
LWÓW. S. Sokołowski i S-ka, Jagiellońska l. 7 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", Kilińskiego 1.
ŁÓDŹ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 105; Biuro „Promień", Piotrkowska 81; Księgarnia „Czytaj", Dzielna 2
PARYŻ VI, Librairie Franco-polonaise, 123, Boulevard St. Germain, 123.
POZNAŃ, Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Ratajczaka 36; Fiszer i Majewski, Gwarna 19; „Par", Oddział miejski, ul. 27-go Grudnia 18 i Polskie T-wo Księg. Kolejowych „Ruch", plac Wolności 3
PRZEMYŚL, Księgarnia A. Juszyński i F. A. Kuzia, Franciszkańska 15.
TORUŃ, A. Wojciechowski, Stary Rynek 4
WARSZAWA, kantor redakcji „Tygodnika Illustrowanego", Zgoda 12; Polskie T-wo Księg. Kolej. „Ruch", Al. Jerozolimska 63; biuro „Promień", Widok 19.
WARSZAWA — PRAGA, Księgarnia Z. Jeżewskiego, Targowa 67.
WILNO, Gebethner & Wolff i S-ka, ul. Mickiewicza 7; Polskie T-wo Księgarni Kolejowych „Ruch", Sp. Akc., Wileńska 14.
ZAKOPANE, Gebethner i Wolff, Krupówki.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE W KRAJU I ZAGRANICĄ I KSIĘGARNIE KOLEJOWE „RUCH".

OGŁOSZENIA DO „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO" PRZYJMUJĄ:

Ajencje reklamowe:

WARSZAWA: T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; L. Metzl i S-ka, Jasna 17; Międzynarodowe Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 38; Bernard Buchweitz, Fredry 4; Jan Apte, Zielna 26; „Par", Moniuszki 2; „Merkury", Królewska 49; KRAKÓW: „Par", Rynek 46; CIESZYN: Rudolf Pszczółka, Rynek; KATOWICE: „Par", Poprzeczna 8; LWÓW: „Par", Akademicka 14; POZNAŃ: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27-go Grudnia 18; WILNO: Biuro Jutana, Niemiecka 4; GDAŃSK: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Zagranicą:

WIEDEŃ: A. Exp. J. Dannenberg, Singerstrasse 2; A. Exp. M. Dukes Nachf, Wollzeile 16; KOPENHAGA: Ervin Wassey et Co., Montegarde 19; BERLIN: „Ala", A. G., Potsdamerstr. 27a; „I. H. A.", Potsdamerstr. 13; PARYŻ: Agence Jegù, Rue de Rome 27; PRAGA: R. Jirik, ul. Zatise 19; WROCŁAW: R. Landsberger, Königstrasse 2; BREMA: W. Scheller, Sögerstrasse 16.

NOWOŚCI SEZONOWE

WIOSNA—1931

JEDWABIE WEŁNY

MATERJAŁY NA UBIORY MĘSKIE

KONOPKA i REDULSKI

WARSZAWA

MARSZAŁKOWSKA 130

Klisze i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa

Opłata pocztowa opłacona ryczałtem